№ 33 Warszawa, dnia 1 (13) Sierpnia roku 1881.

TYGODNIK MÓD
I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

AUTOR „WOJNY CHOCIMSKIEJ"
WACŁAW SZRENIAWA POTOCKI.

PRZEZ

Wiktora Czajewskiego.

(Dalszy ciąg.)

W części drugiej nie ma ustępów porównawczych, przepełnionych mitologią, lub postaciami starożytnej historyi. Wiersz potoczysty, pięknie i artystycznie grupuje w sobie wzniosłe obrazy, a myśl jasna pełna epicznego kolorytu. Szczególniej dobrze uwydatnia się tu postać staruszka kapłana Mufty — który przepowiada dumnemu z cecorskiej klęski sułtanowi niepomyślny koniec jego ponownej na Polskę wyprawy.

Rozgniewany sułtan na starca, za jego groźną przemowę, każe mu się usunąć odwzajemniając się za te przepowiednie wyrokiem śmierci. Ale za Muftem ujął się Mustafa słynny wódz turecki, i on był tegoż zdania; sułtan jednak rozwścieklony poszedł za zdaniem swoich pochlebców i kazał szykować wojska.

Nie zasypiano sprawy i w Polsce.

Nieposlpolitą energię rozwinął sejm zwołany przez Zygmunta. Chętnie naznaczono podatki, zebrano ośm poborów w Litwie i Koronie, kwartę podwójną i podwójne czopowe. Naznaczono wodzami: wielkim hetmanem koronnym Chodkiewicza, polnym Lubomirskiego, a duchowieństwo miało dostarczyć 150,000 na tę wyprawę. Ale oni, powiada autor:

> Wolą wieźć za granicę i darmo dać komu,

który brać pieniądze bierze, ale dobrej sprawie wcale nie służy.

Proszony Ojciec święty o pomoc przeciwko barbarzyńcom poganom, przyrzekł ją dać, nie wpierw jednak aż z heretykami się załatwi, ale zato nie puścił posłów polskich z próżnemi rękoma:

> Przydał: że, jak zbijecie Turczyna do szczętu,
> Dam w każdym roku miejsce na pamiątkę świętu.

Toż samo uczyniły i inne narody:
Niemiec, któremu niedawno Polacy pomagali, któremu król pozwolił zaciągów na wojnę z unią protestancką, gdzie dzicy, ale waleczni kozacy Lisowskiego poszli walczyć w Niemczech, Węgrzech i Czechach za sprawę katolicyzmu i Habsburgów (1619 r.), Niemiec odmówił posiłków, zabronił werbować ludzi, a nawet tych, którzy już byli zwerbowani wycofał.

> — Za psa nasza uczynność—bo póki świat—światem,
> Nigdy Niemiec nie będzie Polakowi bratem.

Ba! żeby byli się Niemcy choć na tem ograniczyli, ale nie; zamiast pomocy, zamiast jakiejkolwiekbądź wdzięczności, podkopują jeszcze sprawy w Polsce, pragnąc zakłócić sejm, aby się tym sposobem rozchwiał. Tak! chcieliby na tej całej sprawie, jeszcze jedną koronę zarobić!

> Małoż im Węgry, Czechy i niewolnik szląski,
> Któremu, pod przysięgą, biednej zabić gąski
> We własnym domu niewolno, aż zapłaci od niej.

Wszyscy więc w potrzebie odmówili Polsce pomocy, tylko król Jakób angielski, przyrzekł Osolińskiemu, że wyśle ośm tysięcy na własnym żołdzie. Ma się rozumieć wojsko Jakóba nie przybyło pod Chocim: przynajmniej były szczere chęci.

Całą tę część kończy prawdziwie poetycznym ustępem:

> Już też rok był na schyłku, już wypadłszy z wagi
> Słońce, codzień to szczuplej zagrzewa świat nagi,
> Który zima oskubszy ze wszelakiej krasy,
> Tak bydłu, jak i zwierzu zamknęła popasy;
> Wszystko z pola zegnała, zaraz za swem przyjściem,
> Okrom, co gałązkami żyje, albo liściem.
> Już i pasterze swoje puścili koszary,
> I ptak poszedł na zwykłe do cieplic opary,
> Prócz tych, co się na nasze spuściwszy urόbki,
> Całą zimą po brogach wysysają snopki: —
> Twardy mróz ujął ziemię — chociażby po bagnie
> Kartuny prowadził, pewnie się nie zagnie,
> Kryształowem wątpliwe brody spiął pokostem,
> I byste rzeki szklannem poujmował mostem.
> Biały śnieg, jako z woru na ten się świat kida,
> Bo się słońca z uboczy nic a nic nie wstyda.

I znów obraz skreślony piórem Potockiego tak jakby wyszedł z pod pendzla artysty. Takich ustępów w naszej poezyi mało, i z pewnością nie przewyższą go w niczem obrazy późniejszej „Zofjówki" i z pewnością swoją prostotą i jędrnością mowy nie różniłby się wiele od opisów natury, które spotykamy w „Panu Tadeuszu"!

Dwie te pierwsze części były niejako przygotowaniem do wyprawy.

Czytelnik widzi wszystko i z niecierpliwością oczekuje mistrza. Oczekuje rozwinięcia się akcyi i głównego bohatera dramatu.

Otóż i on! Dzielny Chodkiewicz staje na czele rycerstwa. Smutny i dumny obejmuje rządy, a nienamyślając się długo, przechodzi Dniestr i staje w starym obozowisku pod Chocimem, oczekując na inne posiłki:

> Już się wiosna poczęła, już baran ochudły,
> Otrząsa gęste z śniegu zimowego kudły.
> . . . .

Już krzykliwe żórawie, już swe gęsi klucze,
Jako nas z śniegu rosa horyzont opłucze,
Długiem pasmem prowadzą; już wdzięcznemi głosy
Po kniejach się wesołych przekrzykują kosy.
A smutny słowik widząc, że mu się nie wróci,
Jak we dnie tak i w nocy po swej stracie nuci.
Już się po krach pieszczone wabiły kukułki,
Gdy Lubomirski sobie poruczone półki
Przywiódł...

Noc zapadła — i

...jako świat szaremi przyodziawszy skrzydły,
Uspokoiła ludzi z ptactwem, zwierzem, bydły,
Prócz co się słońca strzegą i swój ich cień straszy,
Cały dzień śpią, a w nocy wychodzą ku paszy.
Śpi obóz — na przyszłe hartując się prace,
Mając w koło posłuchy i we straży place.
Szumi Dniestr, a gdy woda z skałami się kłopi,
W głębszy sen myśli ludzkie owym szumem topi.
Ty sam nie śpisz, za wszystkich nie dasz zemknąć oku
Wielki hetmanie! darmo tłocząc na bok z boku
Twarde łoże — i w głowie mając pełno zgrzytu
Równo z strażą — rannego oczekujesz świtu.

Nic dziwnego, że Chodkiewicz był w takim położeniu; kto ma poruczone sprawy ojczyzny, kto dba o jej honor i życie powierzonego mu żołnierza, ten spokojnie zasypiać nie może.

Straszne to były warunki zwyciężyć Turka, który z niezliczonem barbarzyńskiem wojskiem ciągnął na Polskę. Chodkiewicz wiedział naprzód, że nie będzie miał ani dziesiątej części tego żołnierza, który stanął pod chorągwią Osmana! To też wybrał sobie na obóz miejsce jak najdogodniejsze i już z samej natury bardzo warowne, po prawej stronie Dniestru. Tam dla lepszej komunikacyi spiął oba brzegi mostem.

Już do obozu polskiego przybył jako pośrednik, Weweli, człowiek przebiegły i chytry. Nie udało się jednak tym razem coś zyskać postrachem.

W obozowisku dotąd znajdowało się ledwie 36,000 wojska. Chodkiewicz oczekiwał jeszcze przybycia kozaków i niepokoił się ich opóźnieniem.

Niepewność Chodkiewicza uspokoił jednak wkrótce Sajdaczny, stary kozak, wytrawny wojak i dzielny wódz. Przypadkiem stracił zaufanie u swoich współbraci, a z niem dowództwo, które przez intrygi osiągł nieprzyjaciel Sajdacznego, Brodawka. Od tej pory służył Sajdaczny królowi i panom, a z poruczonych mu spraw wywiązywał się dzielnie.

Przyniósł teraz Chodkiewiczowi pierwszą wieść, że kozacy już są niedaleko, a kiedy ci nie przybyli w oznaczonym terminie, za zezwoleniem wodza wyruszył na ich spotkanie.

Sajdaczny jest to typ prawdziwego kozaka, nacechowany niesłychaną półbarbarzyńską energią— połączony z chciwością, mściwością i gwałtownością. To też przy takiem usposobieniu nieraz dał się on we znaki samemu sułtanowi.

Chodził on za Dnieprowe Porogi, skradał się pod przedmieścia Carogrodu, palił je, oblewał popioły krwią turecką i po takiej wyprawie zwykle obładowany zdobyczami powracał do domu.

Oprócz sympatycznego Sajdacznego jest tam więcej typów dobrze wykończonych. Taki Fiekiety Węgrzyn ze swojem wojskiem, typ wspaniały, coś bardzo zbliżony do „Konewki" Mickiewicza.

Półk jego uzbrojony w potężne garłacze—skrywa się po lasach jak Dobrzański z Sakiem w pokrzywach, i parzy ołowiem nieprzyjaciela. Dzielni są i kozacy pod Lisowskim, którzy u Rakuzanów podczas spokoju w kraju się wysługiwali, ale kiedy okazała się potrzeba, z 500 mil przywlekli się pod królewskie chorągwie, przechodząc różne koleje. Niebrak tam i typów podobnych do romantycznego dziedzica horeszkowej sukcesyi, szkoda tylko, że nie są zatytułowani. Postacie te tak są opisane:

Drugi osiadł pół Polski, że już i tytułu
Nie masz przedeń w koronie — więc do protokułu
Cesarskiego — o wstydzie! o hańbo! o brednia!
Leci — wziąwszy tysiące, po grabstwo do Wiednia.

Takiemu nie stać na odwagę: obwiesił on swoje komnaty jedwabiami i aksamity, zdelikatniał jak lalka i

— Nie widział chorągwi, ani broni gołej,
Chybać na Boże Ciało, obchodząc kościoły.
. . . .
Nie łoże, nie łabędzie mchy, nie miękkie szaty,
Przodki nasze, a stare zdobiły Sarmaty,
Takieśmy się postrzygli z bohaterów w gachy!

Szukaj teraz w polu owego *comesa*, nie znajdziesz go zapewne, a jeżeli jest to skrywa się niezawodnie gdzie w boru, lub jak zając pod miedzą. Nie wszyscy jednak tak zniewieścieli. Były przecież domy, które chętnie z własnych funduszów wystawiły zaciężne hufce, jak: Potoccy, Czartoryscy, Sobiescy, Radziwiłłowie i wiele wiele innych. Wszystko to przybywa pod Chocim, i wspaniale przesuwa się przed oczyma widza w poemacie.

Nadciągają i kozacy, uzupełniając wojska polskie.

Sajdaczny także powrócił zwycięzko, bo skoro zobaczyli go swoi, natychmiast zrzucili Brodawkę, który się im już sprzykrzył, a powtórnie go wodzem powitali.

Dzielny i zwinny Sajdaczny uwinął się na wstępie z Turkiem, którego jeden oddział rozbił na miazgę.

Z radością powitano w obozie kozaków, ale Chodkiewicz jeszcze nie jest spokojnym. Oczekuje z niecierpliwością przybycia Królewicza, który z doborowem wojskiem stanął pod Lwowem, a kiedy tak schodziły dnie spiesznie, a Królewicz nie przybywał, wydelegowano do niego posłów: Żorawińskiego i Potockiego, aby pospieszał pod Chocim, lub jeżeli sam nie może, aby przysłał swoje wojsko.

Tymczasem na obóz polski, już chciwy zwycięztwa Skurza Katomir, Tatar, napadł ze swoim oddziałem, chcąc uprzedzić sułtana. Zawiodła go jednak nadzieja! Zamiast pobić Polaków, został pobitym i utracił w potyczce brata swego. Sam zaś uszedł nad Prut wraz z całem swem obozowiskiem.

(D. c. n.)

Zawsze smutno.

Burza świszcze, dmą tumany,
Dmie wicher na dworze,
Nie na lepsze pono zmiany,
Smutno mi o Boże!
Szum wezbranej zdala fali,
Plącze myśli wątek,
I nasuwa obraz w dali
Wspomnień i pamiątek:
Głowę — myśli ze snu budzi,
Twarzą ukochaną
Serce pieści, oczy łudzi
Czarodziejską zmianą.
Trzymam oddech, mrużę oczy,
By nie spłoszyć cienia,
Lecz naprożno, sen uroczy
Ginie wśród wspomnienia.
Szczęścia chwile prędko przeszły,
Jakby skrzydła miały,
A marzenia moje złote
Z chmurą się rozwiały.

M. K.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

XXVI.

Pożegnanie.

Burmistrz nie próbował nawet ukrywać miotającego nim niepokoju.

Prusacy maszerowali ku Frankfurtowi: bitwa nastąpi niezawodnie na granicy bawarskiej, i jeźli wojska związkowe zostaną pobite, najniezawodniej nazajutrz Prusacy zajmą Frankfurt.

Dalej wydane były rozporządzenia nieznane jeszcze w mieście, ale które nie mogły być tajemnicą dla niego, jako dla burmistrza.

Dnia 14 lipca, a więc pojutrze, zgromadzenie związkowe, komisya wojskowa i kancelarya odebrały rozkaz przeniesienia się do Augsburga, co dowodziło, iż nie było pewności czy Frankfurt zachowa swe prawa neutralności.

Cały Frankfurt podzielał przekonanie, że zbliża się chwila stanowczego przesilenia, i podnieciło ono jeszcze współczucie mieszkańców jego dla ostatnich obrońców drogiej wszystkim sprawy Austryi, pragnęli więc pożegnać ich serdecznie. Gdy więc nadchodziła godzina obiadu, najznakomitsze domy w mieście zaprosiły do siebie dowódzców i oficerów, a rodziny mieszczańskie i lud, żołnierzy; pierwsi obiadowali w mieszkaniach, dla drugich ustawiono stoły przed domami.

Słynny kupiec win, Herman Mumm, zaprosił stu żołnierzy, kaprali i sierżantów, urządził przed domem swoim ogromny stół i przed każdym biesiadnikiem postawił butelkę wina.

Burmistrz Fellner, szwagier jego, doktor Kugler i inni mieszkańcy ulicy dotykającej do dworca kolei, podejmowali wolnych strzelców Karola.

Karol obiadował u pani von Beling, wraz z hrabią Monte-Nuovo. Benedykt pozostał u burmistrza. Senator Bernus i Speltz nie mogli przybyć mając swoich zaproszonych; przyszedł tylko dziennikarz Fischer, który jako kawaler nie miał u siebie gości.

Książę Aleksander heski obiadował u konsula austryackiego.

Dziwną z sobą stanowiły sprzeczność obiady mające miejsce w mieszkaniach, z zastawionemi na ulicach. Żołnierze jedli i pili nie troszcząc się

o jutro, nie lękając się śmierci, bo ta dla nich jest tylko jakby czarno ubraną wiwandyerką, nalewającą im ostatni kieliszek wódki przy końcu ostatniego dnia. Żołnierz lęka się tylko utraty życia, bo z niem odrazu traci wszystko, gdy tymczasem mieszczanin, przemysłowiec, bankier, pierwej jeszcze niż życie, może stracić majątek, kredyt, poważanie. Mogą zrabować mu kasę, zniszczyć i złupić mienie, shańbić żonę i córki, daremnie przyzywające jego pomocy. On lęka się zarazem o swoją rodzinę, majątek, spokój i honor.

Oto o czem myśleli obywatele wolnego miasta Frankfurtu, co pozbawiało ich humoru i niedozwalało tak swobodnie jakby pragnęli podejmować swoich gości.

Karol i Helena nie myśleli o tem wcale; dla nich obecna chwila była wszystkiem, pragnęli jej użyć, zapomnieć o wszystkiem — i zapominali, nie siłą woli, ale siłą miłości.

Jednak najsmutniejszem z tych zebrań było bez zaprzeczenia małe kółko zgromadzone u burmistrza. Daremnie Benedykt starał się je ożywić, czując to, że przepowiednie jego mogły się do tego przyczynić. Przynaglony pytaniami jednych, niedowierzaniem innych, wypowiedział co wyczytał z ręki cudzoziemca prawie nieznanego sobie; następnie spotykał się z nim kilkakrotnie, i choć nie był serdecznym jego przyjacielem, jednakże polubił go bardzo.

I rzeczywiście pan Fellner był człowiekiem nader sympatycznym, bardzo zdolnym urzędnikiem i jednym z najinteligentniejszych burmistrzów jakich posiadał Frankfurt. Prócz tego, wzorowy mąż i ojciec, był uwielbiany od całej rodziny. Od lat czternastu był ożeniony, i ani jedna chmurka nie zasępiła ich zgodnego pożycia, nie dziw więc, że na samą myśl, że jakieś nieszczęście może ich dotknąć, biedna kobieta zaledwie mogła powstrzymać się od płaczu. A cóż dopiero, gdy wspomniała sobie na straszną przepowiednię Benedykta!

Pomimo dręczących go udręczeń politycznych—bo nie lękał się przepowiedni i nie wierzył jej skoro sam miał odebrać sobie życie — pan Fellner starał się jednak o ile można ożywić zebranie i rozweselić swoich biesiadników; dopomagali mu w tem szwagier i Fischer — ale daremne były połączone ich usiłowania.

Gdy podano wety, wszedł służący oznajmiając Benedyktowi, że Lenhardt przyszedł ofiarować mu swoje usługi. Pan Fellner zapytał co za jeden jest ten Lenhart, gdy w tej chwili właśnie wynajmujący powozy odsunął służącego i wszedł do sali mówiąc:

— Przychodzę powitać pana Benedykta; dzień dobry panu burmistrzowi i całemu towarzystwu.

— Ach! rzekł burmistrz poznając stary akcent saksoński, musisz być z Sachsenhausen?

— Tak, do usług pana burmistrza, nazywam się Lenhardt; jestem bratem Jana, służącego pani von Beling.

— Kiedy tak, mój przyjacielu, rzekł burmistrz, to wypij szklankę wina za zdrowie pana Benedykta, którego przyszedłeś pozdrowić.

— O! choćby i dwa razy, odrzekł, bo pan Benedykt wart tego. O! on nie żartuje z Prusakami. Do krocset tysięcy! iluż to ich powalił pod Langesalza!

— Jakto? byłeś tam i widziałeś?

— A ma się rozumieć! byłem i wściekałem się ze złości, że i ja nie mogę ubijać tych kukułek.

— Dlaczego nazywasz ich kukułkami? zapytał dziennikarz?

— Bo zabierają cudze gniazda aby w nich składać swe jaja.

— Ale zkąd wiedziałeś, że tu jestem? zapytał Benedykt, nieco zakłopotany tak nieceremonialną wizytą.

— Bah! wielka sztuka! odrzekł Lenhardt. Idę sobie spokojnie ulicą, aż tu pies przybiega i skacze mi na piersi. „Aha! zawołałem, to Fryga pana Benedykta." Usłyszawszy wymienione nazwisko pana, strzelcy zaczęli przyglądać mi się jakby jakiejś osobliwości. „Czy jest tu pan Benedykt?" pytam, a oni odpowiadają. „A jużci jest, skoro obiaduje u waszego burmistrza, pana Fellnera, bardzo zacnego pana, który ma dobre wino." — A, prawda, myślę sobie, pan Fellner jest i moim burmistrzem, skoro od wczoraj osiedliłem się w Frankfurcie, a skoro jest moim burmistrzem, to mogę sobie pozwolić wejść do niego, aby powitać pana Benedykta.

— No, teraz, skoro już przywitałeś się ze mną i wypiłeś zdrowie pana burmistrza...

— Ba! ale nie piłem jeszcze za zdrowie pana, mój dobry panie, mój dobroczyńco, moje bóstwo— tak bo jesteś moim bóstwem panie Benedykcie. Nie posiadam się z radości opowiadając sławny pojedynek pana, w którym pobiłeś trzech jednego po drugim. A najpierw szpadą jednego z którym nie było żartów — pana Fryderyka von... ale znacie go państwo; drugiego, wystrzałem z pistoletu, tego wysokiego i chudego dziennikarza, tak coś jak pan, panie Fischer...

— Dziękuję ci za porównanie, przyjacielu, rzekł pan Fischer.

— Sądzę, że nie powiedziałem nic złego, z przeproszeniem pana... A trzeci...

— Ale dajże pokój, nie nudź tych panów, rzekł Benedykt.

— Widać nie nudzę ich, kiedy chętnie słuchają... O! jak zacznę opowiadać o panu Benedykcie, nie umiem prędko skończyć.

— No, a cóż ten trzeci? zapytał doktor.

— O! z trzecim odbył się pojedynek na pięście; chłop był jak dąb, a pan Benedykt niedługo bawiąc powalił go na ziemię jak piórko, a jeźli nie na śmierć, to dlatego tylko, że nie chciał zabić tego durnia Prusaka... A, i dwom innym darował życie...

— A! przypominam sobie, rzekł burmistrz, czytaliśmy tę historyą w „Gazecie Krzyżowej" ale anim się domyślał, że to mowa o panu.

— A jak pan Benedykt wróży z ręki!—to istny czarownik. O! panie Benedykcie, nie chciałbym żebyś mi przepowiedział, naprzykład, że umrę za tydzień, do stu katów! byłbym tak pewny śmierci, iż kazałbym zaraz robić trumnę.

Burmistrz zbladł lekko, Fischer drgnął, pani Fellner łzy stanęły w oczach.

— No! rzekł dziennikarz z przymuszonym uśmiechem, to jakoś źle na nas.

— Bah! odrzekł Benedykt, było to po dobrym obiedzie, mroczyło mi się w oczach, bardzo być może, iż gdybym powtórnie, teraz naprzykład rozpatrzył tych panów...

— O! tak, tak, zawołała pani Fellner, proszę przyjrzyj się pan ręce mego męża.

— A i owszem, odrzekł.

— Nie mam nic przeciw temu, rzekł burmistrz, już chyba nie możesz pan powiedzieć mi nic gorszego jak pierwszym razem.

Benedykt zaczął przyglądać się jego ręce; oczy wszystkich zwróciły się na nich; ta tak starożytna a tak dziś mało znana nauka, ma to do siebie, że zaciekawia tych nawet co w nią nie wierzą.

Otwarta i uśmiechnięta twarz młodzieńca zasępiła się i spoważniała; popatrzywszy chwilę, puścił rękę pana Fellnera, mówiąc:

— Teraz przepowiednię moją powiem tylko panu samemu. Przejdźmy do drugiego pokoju.

Pan Fellner poszedł z nim do przyległego gabinetu.

— Panie Fellner, rzekł, mówię to z najgłębszem przekonaniem: wielkie panu zagraża nieszczęście. Na środku trzeciego stawu masz pan gwiazdkę; gdyby gwiazdka ta znajdowała się na samem wzgórzu Saturna, oznaczałaby, że zostaniesz zamordowany, w tem zaś miejscu zapowiada samobójstwo. Na szczęście, jak pan widzisz, linia idąca przez środek dłoni, zatrzymuje się niedochodząc do niej; gdyby się z nią łączyła, katastrofa byłaby nieuniknioną, jak to ma miejsce u pana Fischera, co zaś do pana, mam przekonanie, że mógłbyś jej uniknąć. I dlatego... nie wiem co radzić ale zdaje mi się, że należałoby opuścić Frankfurt, uciekać ztąd tak jak się ucieka katastrof przyrody, trzęsienia ziemi, lub wylewu wód. Podaj się pan do dymisyi i wyjedź z Frankfurtu — będzie to najlepszy sposób uniknienia grożącego niebezpieczeństwa.

— Nie powiem panu, odrzekł burmistrz, że zupełnie nie przywiązuję wiary do słów jego, bo choć niekoniecznie wierzę w chiromancyą, ale przekonanie z jakiem pan mówisz dziwnie oddziaływa na mnie. Mam tysiące powodów, abym pragnął życia: żonę młodą jeszcze, którą kocham i jestem kochany wzajemnie, dobre, ukochane dzieci, które pragnąłbym wychować i pokierować, dość znaczny majątek mający powiększyć się jeszcze paru spadkami, których bynajmniej nie pożądam, a nadto jako piastujący najpierwszą godność w naszem mieście, zajmuję dość wydatne stanowisko. Jednakże mimo to wszystko, nie mogę właśnie teraz, w chwilach niebezpieczeństwa opuszczać stanowiska na jakiem postawił mnie Bóg i zaufanie współobywateli — powinienem stać na niem niewzruszenie. Jeźli, jak pan mówisz, samobójczą ręką odbiorę sobie życie, to chyba gdyby fatalizm zmusił mnie wybierać między hańbą a śmiercią, a wtedy, jak starożytni owi Rzymianie co w kąpieli otwierali sobie żyły, i ja przekładając śmierć nad niesławę, mógłbym targnąć się na moje życie. Choć więc nader smutna jest twoja przepowiednia, zostanę oczekując wypadków... A teraz wracajmy do towarzystwa; w każdym razie dziękuję za przestrogę, korzystając z niej zajmę się niezwłocznie urządzeniem interesów, aby śmierć nie zaskoczyła mnie nieprzygotowanego.

— Jesteś pan najzacniejszym, najszlachetniejszym człowiekiem; daj Boże! żebym się mylił, żeby nauka nie była nauką... Wróćmy do salonu.

W chwili gdy wracali do sali jadalnej, rozległ się odgłos bębnów i trąbki, oznaczający godzinę wymarszu. Pani Fellner niecierpliwie oczekiwała ich powrotu; mąż skinął na nią z uśmiechem zalecającym, aby była spokojna. Ten znak wzywający wojskowych żywe na wszystkich wywarł wrażenie; myśląc o sprawie ogólnej, każdy zapomniał o sobie.

— Zegnam panią, rzekł Benedykt, obowiązek żołnierza każe śpieszyć do szeregu, zaledwie mam czas wypić za zdrowie szanownego pani męża, aby żył jak najdłużej, używając szczęścia jakiem go obdarzasz.

Wszyscy powtórzyli ten toast, nie wyjmując Lenhardt'a, który tym sposobem już drugi kielich spełniał za zdrowie burmistrza.

Uścisnąwszy dłoń pana Fellnera, szwagra jego

i dziennikarza, i pocałowawszy w rękę panią Fellner, Benedykt zbiegł prędko ze schodów, wołając:

— Do broni!

Także przy końcu obiadu, tenże smutny odgłos wojenny zaskoczył Karola i Helenę. Karol uczuł straszne ściśnienie serca; Helena zbladła choć nie rozumiała znaczenia trąbki i uderzenia w bębny: wydały jej się jakieś złowrogie i przerażające. Dopiero pochwyciwszy spojrzenie jakie zamienili z sobą hrabia Monte-Nuovo i Karol, zrozumiała, że nadeszła straszna rozstania chwila.

Hrabia ulitował się nad dwojgiem kochanków, i chcąc dać im sposobność dłuższego pożegnania, skłonił się pani von Beling i rzekł do przyjaciela:

— Karolu, masz jeszcze kwandrans czasu.

Karol spojrzał prędko na zegar — było w pół do piątej.

— Dziękuję, jenerale, stawię się w oznaczonym czasie.

Pani vod Beling wyszła wyprowadzając hrabiego Monte-Nuovo; narzeczeni wyszli do ogrodu i usiedli w poblizkiej altanie.

Mamże opisywać ich rozmowę?

Wyszłoby to na jedno co chcieć pochwycić smętne tony śpiewającego w pobliżu słowika; bo jakże tu odtworzyć te słowa przerywane łzami i westchnieniami, namiętnemi uniesieniami i przysięgami wiernej, dozgonnej miłości. Co sobie powiedzieli przez ten kwandrans? Nic i wszystko!

Nareszcie trzeba się było rozstać.

Wierzchowiec Karola czekał przed domem. Wyszedł trzymając pod rękę Helenę; brama była otwarta; dwaj oczekujący Styryjczykowie dawali mu znaki, że nie ma chwili do stracenia.

Wybiło trzy kwandranse na piątą. Karol przycisnął do serca narzeczoną, wskoczył na konia i spiąwszy go ostrogami popędził galopem.

Oto ostatnie słowa jakie Karol usłyszał z ust Heleny, odjeżdżając.

— Będę twoją na tym czy na tamtym świecie!...

Oto ostatnie jakie odpowiedział jej na to z zapałem kochanka i z wiarą chrześcianina:

— Amen!

(D. c. n.)

ŚWIAT NUDÓW.

Komedya w 3-ch aktach

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

AKT I.

(Dalszy ciąg.)

Scena jedenasta.

Ciż, ZUZANNA.

Zuzanna (wchodząc na palcach z tyłu za Rogierem i kładąc mu rękę na oczach). Kuku!

Roger (wstając). A tam co?

Zuzanna (stając przed nim). Otóż i ja.

Roger (zdziwiony). Ależ panno Zuzanno...

Zuzanna. Brzydki... niepoznający swojej córki!

Roger. Zuzanno!

Księżna (na str.). Zarumienił się.

Zuzanna. Jakto? więc mnie nie uściśniesz?

Pani de Céran. Zuzanno, zastanów się, nie jest to przyzwoicie...

Zuzanna. Uściskać swego ojca? Proszę! (Zbliża się ku niemu.)

Księżna (do Rogiera). Uściskajżeż ją przecie! (Ściskają się.)

Zuzanna. Ah jakże jestem szczęśliwa!... Wyobraź sobie, nie wiedziałam, że ty dziś przyjechałeś i dopiero pani de Saint-Réault oznajmiła mi o tem podczas odczytu, wtedy ja, tak żeby ona mnie nie widziała... a byłam właśnie blizko drzwi... wymykam się i biegnę na dworzec kolei.

Pani de Céran. Sama?

Zuzanna. Naturalnie, samiuteńka... Jakie to zabawne! ale posłuchajcie co jeszcze zabawniejsze. Zbliżam się do kasy, a tu pieniędzy nie mam... jakiś pan kupujący bilet, zobaczywszy to, proponuje mi, że weźmie bilet i dla mnie, byłto młody człowiek, bardzo grzeczny, — akurat wybierał się do Saint-Germain. A potem drugi jeszcze, staruszek bardzo czcigodny—a potem trzeci, a potem wszyscy ci panowie, którzy tam byli... wszyscy jechali do Saint-Germain... „proszę pani bardzo...” „nie ścierpię nigdy...” „proszę przyjąć ode mnie.” Wzięłam jednak bilet od owego staruszka, pojmujecie, to było daleko przyzwoiciej.

Pani de Céran. Wzięłaś?

Zuzanna. Przecież nie mogłam pozostać.

Pani de Céran. Od obcego?

Zuzanna. Taki staruszek czcigodny... O! zachował się bardzo elegancko... pomógł mi wsiąść do wagonu... Wszyscy byli bardzo elegancy... bo wszyscy wsiedli do tego samego wagonu. A jacy uprzejmi. Ofiarowali mi najlepsze miejsce, podnieśli okna, a potem każdy z nich: „Proszę pani tutaj... może pani nie lubi siedzieć frontem do lokomotywy... z tej strony lepiej, tu nie ma słońca”, i naciągali sobie rękawów, kręcili wąsów, i sadzili się na grzeczności zupełnie jak dla jakiej damy... Jakże to zabawne tak samej wyjść z domu!... Jeden tylko, ten staruszek, ciągle mi opowiadał o swoich ogromnych dobrach, co mi zresztą było wszystko jedno.

Pani de Céran. Ależ to straszne!

Zuzanna. Nie, wcale. Co jednak najdziwniejsze, to że gdyśmy już byli na miejscu, znalazłam moją portmonetkę w swojej kieszeni... Naturalnie oddałam pieniądze czcigodnemu staruszkowi, ukłoniłam się bardzo pięknie tym panom i pomknęłam dalej. Ah! jak oni mi się wszyscy przypatrywali. (Do Rogiera.) Zupełnie tak jak ty... Lecz cóż to?... uściskajże mnie już raz!

Pani de Céran (do księżnej). O! to nieprzyzwoitość przechodząca wszystkie inne.

Zuzanna. Nieprzyzwoitość?

Księżna. Widzisz sama, że ona nawet tego nie przypuszcza.

Pani de Céran. Młoda dziewczyna, sama gdzieś po świecie.

Zuzanna. Łucya także wychodzi sama.

Pani de Céran. Łucya nie ma ośmnastu lat.

Zuzanna. Bardzo wierzę — ma najmniej dwadzieścia cztery.

Pani de Céran. Łucya umie dobrze się prowadzić.

Zuzanna. Czy dlatego, że nosi okulary?

Księżna (śmiejąc się). Zuziu spokojnie... (Na str.) Uwielbiam to moje dziecię.

Pani de Céran. Łucyi nie odesłano z klasztoru.

Zuzanna. Bo co się tego tyczy, była to niesprawiedliwość, zaraz się o tem przekonasz. Kiedym się nudziła...

Pani de Céran. Niepotrzebnie mówisz, twój opiekun wie już...

Zuzanna. Ale nie wie dla czego. Przekonasz się, czy to nie była niesprawiedliwość. Kiedym się bardzo nudziła w klasztorze starałam się, żeby mi drzwi pokazano bo wtedy mogłam iść do ogrodu... wszak rozumiesz? Mój Boże, to mi się udawało tak łatwo. Miałam sposób. Wśród ogólnego zebrania zawołałam: Ah ten Wolter, cóż to za geniusz! Na co siostra Serafina odezwała się natychmiast: Wyjdź mościa panno! Pewnego razu słońce ślicznie przyświecało, więc ja spojrzawszy przez okno, zawołałam: Ah ten Wolter, cóż to za geniusz! i czekam — a tu nic. Powtarzam więc: Ah ten Wolter! Jeszcze nic, grobowe milczenie. Zdziwiona, odwracam się. Matka przełożona stała tam, nie widziałam jej gdy weszła. Piękny obraz! Ona jednak nie posłała mnie do ogrodu, ale odesłała mnie tutaj. Dobrze, tem gorzej... dosyć miałam tego klasztoru... a teraz jestem już kobietą. Czy nie?

Pani de Céran. Twoje postępowanie wcale tego nie dowodzi, pani de Saint-Réault umiera pewnie z niepokoju.

Zuzanna. Odczyt już się prawie kończył — a ona przybędzie tu wkrótce, razem z innemi paniami i z panem Bellac... Jakże też on dziś mówił!

Księżna (cicho do Rogiera). Uważaj.

Zuzanna. A jak te damy biły mu oklaski... A jakie toalety! zupełnie wyglądało to jak ślub... a on, on... (Strzepuje palcami) był przepyszny!

Księżna (do Rogiera). Słyszysz?

Zuzanna. Przepyszny... To też trzeba było słyszeć te panie: Ah ślicznie, cudownie!... Pani de Loudan kwiczała jak świnka morska: ah, ah, ah, ah! No już ja tej pani wcale nie lubię!

Księżna (do Rogiera po cichu). Słyszysz! (Do Zuzanny) Więc takie notatki piszesz podczas odczytu?

Zuzanna. O! mam i inne. (Do Rogiera) Zaraz zobaczysz.

Księżna (do Rogiera, biorąc kajet z notatkami Zuzanny, która wchodząc położyła go na stole). Zaraz możemy zobaczyć. (Bije godzina 5-ta.) Piąta godzina — a moja przechadzka. (Po cichu do Rogiera.) I cóż? domyślasz się czego względem Bellaca?

Roger. Nie...

Księżna. Badaj, czytaj, odcyfruj! Jest to palimpsest, który wart każdego innego. Wreszcie to twój zawód...

Roger. Nic się na tem nie znam.

Księżna. I twój obowiązek.

Pani de Céran (na str.). Co straconego czasu!

Księżna (na str., patrząc na Rogiera). To podrażnia.

Zuzanna (na str., patrząc na wszystko). Co oni tam tak szepczą?

Scena dwunasta.

ROGER, ZUZANNA.

Zuzanna. Jak się ty na mnie patrzysz... czy dlatego żem powróciła sama?... Gniewasz się?...

Roger. Nie, panno Zuzanno, a jednak powinnaś była pani wiedzieć...

Zuzanna. Mówisz mi pani? lecz nie dlatego, że się gniewasz?...

Roger. Nie, lubo...

Zuzanna. A więc dlatego, że widzisz iż jestem już kobietą, co? dlatego? prawda?... no, powiedz...

proszę, powiedz, toby mi sprawiło taką przyjemność!

Roger. Tak Zuzanno, jesteś teraz już kobietą i dlatego właśnie, powinnaś na siebie więcej uważać.

Zuzanna (przytulając się do niego). Dobrze, dobrze, zburcz mnie i owszem, ja tego sobie życzę.

Roger (zlekka ją odpychając). Proszę pani stanąć tu.

Zuzanna. Znowu mi mówisz: pani, czy chcesz, żebym i ja ci: pan mówiła?

Roger. Byłoby stosowniej.

Zzanna. Byłoby zabawnie... ale to wcale nie łatwo...

Roger. Są jeszcze inne reguły, do których się musisz teraz zastosować, i w tem właśnie leży mój zarzut...

Zuzanna. Teraz już wiem co: nie mam ułożenia. Pan Bellac dosyć się o tem nagada.

Roger. A! pan Bellac!...

Zuzanna. Lecz cóż chcesz?... nie ma na to sposobu... nie moja wina, przyznasz mi, przysięgam ci, przysięgam panu; widzisz że to niełatwo; a jednak przyrzekłam sobie uroczyście, że za twoim... za pańskim powrotem, ty... to... jest pan... nie, ja tak nie mogę! Tem gorzej, drugi raz sprobuję. Otóż przyrzekłam sobie, że za twoim powrotem, zastaniesz mnie taką sztywną jak Łucyą, i dlategom się pilnowała... Od sześciu miesięcy pilnuję się i uczę... a wtem, nagle się dowiaduję, że powracasz i psztyk! przepadło sześć miesięcy i mój efekt przepadł!

Roger (z wyrzutem). Twój efekt przepadł!

Zuzanna. Bo taka jestem szczęśliwa z twego powrotu. Tak cię kocham, ale jak ja cię kocham! ja cię uwielbiam!

Roger. Zuzanno, zaprzestań używać wyrazów, których doniosłości nie pojmujesz.

Zuzanna. Jakto? nie rozumiem?... owszem, rozumiem bardzo dobrze... uwielbiam cię, mówię po raz drugi... A czyż ty mnie nie kochasz? ty co tak dziwnie wyglądasz? Dlaczego tak wyglądasz?... Prawda, że mnie więcej kochasz, aniżeli Łucyę?

Roger. Zuzanno...

Zuzanna. Napewno? I nie ożenisz się z nią?

Roger. Zuzanno...

Zuzanna. Tak mi powiedziano.

Roger. Nie mówmy o tem.

Zuzanna. A więc po co piszesz do niej?... tak, napisałeś do niej 27 listów... do niej... ja je policzyłam... dwadzieścia siedm.

Roger. Pisałem o przedmiotach...

Zuzanna. I dziś rano jeszcze jeden... zawsze o przedmiotach. Cóżeś jej dziś rano pisał, co?

Roger. Poprostu, że przyjadę we czwartek.

Zuzanna. Ze przyjedziesz we czwartek? tylko tyle, naprawdę? Lecz w takim razie dlaczego nie do mnie? Jabym cię była pierwsza zobaczyła.

Roger. Alboż ci nie pisałem podczas mojej nieobecności? i to często...

Zuzanna. O! często!... dziesięć razy! i dotego kilka słów o niczem, na końcu listu, tak jak do dzieciaka. Ja już nie jestem dzieciakiem, głęboko myślałam nad sobą przez sześć miesięcy i nauczyłam się wiele rzeczy.

Roger. Jakież to rzeczy? (Zuzanna schyla się na jego ramię i płacze.) Zuzanno, co tobie?

Zuzanna (ocierając łzy). A potem ja pracowałam... bardzo pracowałam! Wszak wiesz, fortepian... ten obrzydliwy fortepian... widzisz teraz gram już Schumana... to okropne nieprawda?

Roger. No...

Zuzanna. Chcesz żebym ci zagrała?

Roger. Nie — później.

Zuzanna. Bardzom ci wdzięczna za to, a potem dla ciebie stałam się uczoną.

Roger. Tak, słuchasz pani odczytów pana Bellaca, więc to pan Bellac mnie zastąpił?

Zuzanna. On był taki dla mnie dobry — ja i jego bardzo kocham.

Roger. O!

Zuzanna (żywo). Jesteś o niego zazdrośny?

Roger. Ja?

Zuzanna. Powiedz tak, ja to rozumiem, bo jaka ja zazdrośna!... ale dlaczego miałbyś ty, być zazdrośny! Ty i kto inny to nie jest jedno i to samo... Alboż ty nie jesteś moim ojcem?

Roger. Za przwoleniem... ojciec twój...

Zuzanna. Lecz co tobie? No, no, popieść mnie trochę tak jak dawniej.

Roger. Tak jak dawniej, nie można.

Zuzanna. Tak, tak... tak jak dawniej... (Chce usiąść na jego kolanach.)

Roger. Ah, Zuzanno... tak już nie można.

Zuzanna. Dlaczego?

Roger. Odejdź pani, odejdź, pst, pst. (Siada na kanapie.)

Zuzanna. Bardzo lubię jak ty tak robisz, pst, pst.

Roger. Bądź pani rozsądną.

Zuzanna. Dosyć już rozsądku na dzisiaj. (Rozrzuca mu włosy ze śmiechem.)

Roger. Spokojnie, taka duża dziewczyna!...

Zuzanna. Tybyś wolał, żeby to była Łucya, co?

Roger. Odejdź, odejdź!

Zuzanna. Powiedziałeś mi: ty, daj zastaw. (Siada na jego kolanach i całuje go.)

Roger. Zuzanno, powtarzam ci raz jeszcze...

Zuzanna. Tak, raz jeszcze. (Całuje go.)

Roger (odpychając ją wstaje). To nie do zniesienia!

Zuzanna. Ja ci dokuczam, co? Poczekaj, poszukam moich kajetów, to cię pogodzi ze mną. (Zatrzymuje się przy drzwiach i patrzy.) Otóż i te panie z panem Bellac. Co, co? Łucya dekoltowana? Poczekajże trochę. (Wychodzi prędko.)

Roger (sam). Nie do zniesienia!

(D. c. n.)

Wystawa starożytności i dzieł sztuki
w zastosowaniu do przemysłu.

(Dalszy ciąg.)

W ostatniej salce wystawy zgromadzono wyroby stanowiące dział *ceramiki polskiej.* Wyroby z fajansu mieszczą się głównie w szafce oznaczonej Nr 19. i obejmują okazy wszystkich prawie fabryk polskich. Spojrzmy na te dwa słoje aptekarskie z żółtej palonej gliny, jest to wyrób krakowski z XV wieku; jeden ozdobiony widokiem bramy św. Floryana w wypukłorzeźbie; na drugim dwóch rycerzy walczących na turnieju. Na przykrywkach napis „Krakowia" *f. Polonia O. D.* Ciekawy to bardzo i jedyny okaz na wystawie; dowodzi bowiem że w owej epoce, kiedy ceramika włoska taki przepych rozwijała w ozdabianiu słojów aptecznych, i u nas, nie poprzestając na ślepem naśladownictwie obcych wzorów, starano się ozdabiać wyroby krakowskie odtwarzaniem krajowych widoków i zwyczajów.

Na tejże półce znajdujemy cztery okazy fajansu koloru brunatnego, z jaśniejszemi ozdobami. Są to wyroby z Bolesławia na Szląsku, datujące z drugiej połowy XVIII wieku, ozdobione herbami koronnemi. Na górnej półce tejże szafy oraz na wierzchu wszystkich szaf znajdujących się w tym pokoju stoją wazony pochodzące ze słynnej belwederskiej fabryki fajansów, założonej przez Stanisława Augusta. Wszystkie prawie są ozdabiane w stylu japońskim, w różnobarwne kwiaty, liście i ptaki na tle białem. Do najokazalszych należą trzy wazony fajansowe, stojący w środku z pokrywą, w stylu japońskim. Na spodzie zielona marka fabryczna (Warszawa). Wazony te były na wystawie paryzkiej w 1878 r. Najcelniejszym może okazem z wyrobów belwederskich są cztery talerze fajansowe, bogato dekorowane, ze złoceniami, w stylu oryentalnym. Na dnie talerzy medaliony a w około nich napisy tureckie w czterech obramowaniach umieszczone, które znaczą po polsku: I. *Te prezenta i dary posela.* II. *Padyszachowi rodu Osmana.* III. *Król Lechów ażeby najzupełniejszą miłość.* IV. *I szczerą życzliwość okazać.* V. napis u dołu: *W stolicy*, w *Warszawie.* Albo są to resztki albo wysortowane sztuki od serwisu przesłanego wraz z innemi darami sułtanowi przez Stanisława Augusta, w r. 1789, za pośrednictwem poselstwa, któremu przewodniczył Piotr Potocki, starosta szczerzecki. Dwa z nich przedstawione były na wystawie paryzkiej w 1878 roku.

Dolna półka zastawiona jest okazami z pomniejszych fabryk polskich, jako to: z Ćmielowa, Horodnicy, Sławska, a najwięcej z Lubartowa, oraz parę okazów fajansu zagranicznego. Zapewnie tylko zdobiące je herby kilku znakomitych rodzin polskich, dały powód do zamieszczenia ich w dziale wyrobów krajowych.

Porcelanę wyrabiano u nas w trzech fabrykach, a mianowicie: w Korcu, Baranówce i w Tomaszowie. Najpiękniejsze były wyroby koreckie; piękną ich przedstawicielką jest filiżanka wyglądająca jakby szyldkretowa, ozdobiona złoconemi liśćmi. Wyrób to tak wykończony, iż może śmiało współzawodniczyć z podobnemi wyrobami sewrskiemi. Piękna jest także druga filiżanka naśladująca marmur, w kształcie czaszy, oraz zastawa do herbaty, dwie filiżanki i imbryczek, szafirowe, otoczone wieńcem dębowym. Fabryka w Korcu założona została przez księcia Czartoryskiego w r. 1787. W początkach wyroby jej były tak piękne, iż gdyby stopniowo się udoskonaliły, mogłyby dorównać najcelniejszym tego rodzaju wyrobom, ale niestety! zamiast postępu, objawiał się ciągły upadek, co też udowodniają okazy przedstawione na wystawie. W pewnej epoce zaczęto naśladować ozdoby w drobne kwiatki, jakie wówczas wyrabiano w Sévres, następnie imitowano porcelanę saską, dekorowaną większemi kwiatami i bukietami. Do świetnych czasów fabryki należy filiżanka ofiarowana przez zarząd fabryki królowi Stanisławowi Augostowi, przedstawiającą widok zakładów z rodzajem planu pojedyńczych budowli — opisy wypalane w języku francuzkim. Marką fabryki koreckiej jest Opatrzność, to jest trójkątne oko z napisem „Korzec", który w początkach był złoty, póżniej czarny, następnie czerwony, a od r. 1828 umieszczano rosyjski napis „Korec".

Po koreckiej, pierwszeństwo nad innemi polskiemi, należy się fabryce porcelany w Tomaszowie, założonej przez hr. Zamojskich w pierwszym dziesiątku naszego stulecia. W krótkiem, bo niespełna pięć lat trwającem istnieniu swojem, fabryka ta zdaje się nie musiała być bardzo czynną, co wnosić można z tego że wyroby jej nadzwyczaj rzadko spotykać można. I na wystawie też sa-

ma tylko Ordynacya Zamoyskich dostarczyła kilka okazów, jako to: niebieską filiżankę ze spodkiem, bogato złoconą, a na niej herby Zamoyskich i Czartoryskich. Filiżankę ze spodkiem, malowaną srebrem, z portretem ks. Fr. Sapiehy; filiżankę ze spodkiem białą porcelanową z wypukłemi złoceniami z portretem Ces. Alexandra I, i drugą takąż ozdobioną figurą symboliczną, malowaną sepią, z napisem „l'Espérance" a nakoniec talerz porcelanowy, z malowaniem niebieskiem ze złotem. Oto jedyne okazy, jedyny ślad istnienia fabryki porcelany w Tomaszowie; na każdym okazie jest wyraźnie oznaczona marka fabryki „Tomaszów".

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć o ostatniej fabryce polskiej porcelany, jaka istniała w Baranówce na Wołyniu — tej okazy są liczniejsze ale i daleko podrzędniejsze; fabryka ta po większej części starała się odtwarzać wyroby koreckie naśladujące porcelanę saską, ale nie umiała im dorównać, wogóle pochodzące z niej okazy, nie odznaczają się ani gustem ani wykończeniem.

Łatwą jest bardzo znakologia porcelany i fajansów polskich; z wyjątkiem jednego Belwederu, który wyroby swoje znaczył samą tylko literą B. albo W., a na niektórych tylko całe „Varsovie", wszystkie inne fabryki wypisywały całą nazwę miejscowości, a Lubartów, Sławsk i Horodnica, wytłaczały je na swoich wytworach.

Oto sprawozdanie z przedstawionych na wystawie okazów ceramiki polskiej, jako więcej obchodzących polskich czytelników; o innych nadmienimy tylko ogólnikowo, bo detaliczniejsze wyliczanie artykuł niniejszy zamieniłoby w katalog, niedając żadnego o okazach tych wyobrażenia tym co ich widzieć nie mieli sposobności.

Z fajansów przedstawiono przeszło 80 okazów, wyrobów flamandzkich, niemieckich, włoskich, — z tych wiele majolików, holenderskich, francuzkich, szwedzkich, bawarskich, węgierskich, angielskich, oraz parę nowych wyrobów fajansowych malowanych w Paryżu przez pannę Mikulską.

Porcelana numerowana jest działami, według swego pochodzenia. Najpierw kilkadziesiąt okazów porcelany chińskiej, japońskiej i sewrskiej, naśladującej chińską. Najliczniej jednak reprezentowaną jest porcelana saska, pochodząca po większej części z pierwszej połowy XVIII stulecia. Porcelany berlińskiej, z końca z. w. przedstawiono dwadzieścia kilka okazów; wiedeńskiej z ubiegłego stulecia przeszło trzydzieści, i około sześćdziesiąt okazów porcelany pochodzącej z różnych krajów i z różnych fabryk.

Dział szkła i kryształów przedstawia się także bardzo pokaźnie. Są wyroby weneckie, niemieckie, szwajcarskie, czeskie, włoskie, niewiadomych fabryk i kilka polskich, które podajemy: pięć części okna ze szkłem kolorowanem, malowanem w ogniu, z XVI i XVII w. Wiwatowa, przeszło półgarncowa szklenica, ze szkła białego, z napisem: „Przyjaciel kto wypije", z herbem „Ślepowron" pod którym stoi napis „Vivat!"; wyrób polski z XVII wieku. Dwa małe kieliszki z napisami, na jednym: „Miłość w sercu rozzarzona, nie może być utajona", na drugim: „Kto zmysłom dogadza, siebie, drugich zdradza"; wyrób polski z końca XVIII wieku. Kielich wiwatowy rżnięty, z napisem: „Wyschła w ogrodzie fontanny krynica, wypiwszy ta ją odwilży szklenica," wyrób krajowy z XVIII wieku, i nakoniec kielilch z pokrywą, ze szkła rżniętego, na nim herb Ślepowron; wyrób krajowy z XVIII wieku.

(D. c. n.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Izrael na puszczy, obraz dramatyczny w 5-u aktach, przez *Juljana Łętowskiego.*

Wśród wszystkich zabytków piśmienniczych biblia zajmuje jedno z najwybitniejszych miejsc, nietylko pod względem religijnym i historycznym, lecz również pod względem plastyki i głębokiej poezyi; są tam tony tak przejmujące boleścią lub radością, rozpaczą lub szałem uciechy, że czytając, bezwiednie ulegamy im a nasza fantazya snuje minione obrazy życia ludu wybranego. Niemal każdy z poetów i artystów złożył hołd biblii, tworząc mniej lub więcej udatne kreacye osnute na tle biblijnem lub zapożyczające od niej plastycznej formy zwrotów i obrazów.

Z Ksiąg Mojżeszowych wieje tragiczność i siła, godna szerokich ram tragedyi nowożytnej: z jednej strony mamy olbrzymią potęgę pierwiastku teokratycznego, który zawłada całym ludem i wszelkiemi sposobami stara się utrwalić cześć Jehowy i czystość przepisów wiary, — z drugiej dostrzegamy prąd indywidualności tak społecznej jak i religijnej dążący do zwątlenia surowych przepisów Mojżeszowych i do zabezpieczenia sobie swobody życia społeczno-rodzinnego.

Przenieśmy się na chwilę w epokę wędrówek Izraela po puszczy i nie zapominajmy, że Jehowa to Bóg surowy, mściwy, karzący srogo każde przestępstwo, który wymaga bezwzględnej czci zawsze i wszędzie, który groźne swe oblicze okazuje tylko wówczas gdy karze, chłoszcze lub wytraca tysiącami błądzących, Bóg, który nie zna przebaczenia i miłosierdzia — a u sąsiadów tenże sam lud widzi bogów dobroczynnych, którzy jako uosobienie siły przyrody są twórcze i dobrotliwe: taki Baal Fegor sam nie karze, nie zabija, gdyż te atrybucye wypełniają inne demoniczne bogi. Tłumy ludu głosują zawsze za materyalnym kierunkiem i z wielką trudnością dają dostęp idei, chociażby ona była mniej groźną i surową, aniżeli idea Boga izraelskiego. Nic więc dziwnego, że Izraelici tak często podnoszą bunt przeciwko Jehowie, a chylą się ku cudzym bogom i pragną im służyć, zwłaszcza, że zmiana religii wiedzie za sobą ulgi, tak pożądane przez masy ludowe. W chwili takiego skłaniania się ku religii przyrody, politeistycznej, materyalnej, musiała nastąpić walka pomiędzy jednem a drugiem stronnictwem, a ujęcie tej chwili w artystyczne formy dramatu postawił sobie za zadanie p. Juljan Łętowski.

W Księdze Numeri w rozdziale XXV czytamy: „Potem gdy mieszkał Izrael w Syttym, począł lud żyć z córkami moabskiemi, które wzywały ludu ku ofiarom bogów swoich; a jedząc lud kłaniał się bogom ich. I przyłączył się Izrael do służby Baal Fegora; zkąd się rozgniewał Pan bardzo na Izraela. Rzekł tedy Pan do Mojżesza: Zbierz wszystkie książęta z ludu, a każ im te przestępce popowieszać Panu przed słońcem, aby się odwrócił gniew popędliwości Pańskiej od Izraela. Przetoż, rzekł Mojżesz do sędziów izraelskich: Zabijcie, każdy z was męże swe, którzy się spospolitowali z Baal Fegorem. A oto niektóry z synów izraelskich przyszedł i przywiódł do braci swej Madyanitkę przed oczyma Mojżeszowemi, i przed oczyma wszystkiego zgromadzenia synów izraelskich; a oni płakali przed drzwiami namiotu zgromadzenia. Co gdy ujrzał Finees, syn Eleazara, syna Aarona kapłana, wstawszy w pośrodku zgromadzenia wziął oszczep w ręce swoje. A wszedłszy za onym mężem izraelskim do namiotu, przebił oboje, męża izraelskiego i niewiastę przez żywot jej, i odwrócona była plaga od synów izraelskich. A było tych co pomarli oną plagą, dwadzieścia i cztery tysiące. Potem rzekł Pan do Mojżesza, mówiąc: Finees, syn Eleazara odwrócił gniew mój od synów izraelskich, będąc wzruszony zapalczywą miłością ku mnie po środku ich, tak iżem nie wytracił synów izraelskich w zapalczywości mojej... A imię onego męża izraelskiego, który zabity był z Madyanitką, było Zamry, syn Salów, książę domu ojca swego, z pokolenia Symeonowego. Imię też niewiasty zabitej Madyanitki było Kozba, córka Sury, książęcia w narodzie swym, w domu ojczystym między Madyanity..."

Poznawszy ten ustęp z łatwością streścimy cały dramat p. Łętowskiego,—tło stanowi walka idei religijno-moralnej kultu Izraelitów, a czczenia Baal Fegora Madyanitów, lecz o ile potrafił poeta odczuć i uosobić ducha rządów teokratycznych w Mojżeszu, Fineesie i u Lewitów, napiętnować silnie wzburzenie ludu i jego pragnienia, o tyle z drugiej strony Baal Fegor i jego wyznawcy słabo są zaakcentowani, a kontrast niezbyt subtelnie wycieniowany Na to tło szerokie i godne pióra pierwszorzędnego poety; tak swym pomysłem jako też doniosłością idei, rzucił poeta bohatera Zamrego, potężnego swem dążeniem do indywidualności, swobody i gotowego poświęcić wszystko i wszystkich, byle posiąść i żyć z Sellą (biblijną Kozbą); obok niego plastycznie i przedziwnym urokiem poezyi owiana występuje Noah, niegdyś ukochana Zamrego, dziś wzgardzona, a jednak ona kocha niewiernego „miłością mocną jako śmierć, zawistną jako grób, węgle jej jako węgle ogniste i jako płomień gwałtowny; wody wielkie nie mogłyby zagasić tej miłości, ani ręki zatopić, choćby kto wszystką majętność domu swego dał za takową miłość, byłby pewnie wzgardzony"; są to słowa „Pieśni nad pieśniami", tego cudownego poematu miłości, i mamy to przekonanie, że Łętowskiemu w chwili kreślenia tej postaci prócz subjektywnych wspomnień czy uczuć, przeświecała ta pieśń miłości. Noah wzgardziła czystą i szlachetną miłością Jozuego, bo:

...Raz tylko można kochać w życiu,
A co po pierwszej miłości przychodzi,
To bywa tylko gonitwą przeszłości
Lubych obrazów — niczem — niczem więcej!
Ja już kochałam — ty me sny zgubione,
Jako spokojna woda, twarz człowieka,
Powracasz... Ale jam tobie niezdolna
Przynieść wesela, jak inne przynoszą —
Ja mam stargane, rozbolałe serce,
Ja ci za miłość nie oddam miłością!

Zamry kocha Sellę całym ogniem palących promieni południa, miłość jego nie zna miary, nie zna granic, nic go nie wstrzyma na tej drodze, sam przemawia do wstrzymującej go Noahy:

Ha! puść mię!... niech się co chce stanie!...
Choćby serc tysiąc pękło, tysiąc zamarło,
Po dwóch tysiącach trupów, jeszcze pójdę!...

I poszedł, a złamał jedno serce, biednej Noah, która nie może zapomnieć, że kiedyś posiadała miłość Zamrego, że dziś stał się on jej niewiernym dla Madyanitki, cierpi straszliwie, a słowa jej malujące stan serca zdradzonego należą w dramacie do najpiękniejszych:

O, to mu powiedz ty, że zdradzonego
To tak okropnie w sercu, strasznie boli —

Że zdradzonemu jakaś dziwna tęskność
Oplata serce swym cierniowym wiankiem —
Że dlań świat cały wymrze, skamienieje!
Że nad zdradzonym słoneczko nie świeci,
I kwiaty woni swych mu nie oddają,
I ptaki z piosnką zamilkną, a gwiazdy
Skryją się blade i drżące w błękicie!...
O! powiedz ty mu, że dla zdradzonego
To woda zwykle tam w strumieniu chłodna,
Jest jak łzy słona, cierpka i paląca!
O! powiedz ty mu, że zdradzone serce
Nie ma na świecie nic, oprócz nieszczęścia,
Nic — tylko smutek, osty i kamienie!...

(D. n.)

Z KWESTYJ BIEŻĄCYCH.

Jeźli miałem kiedy żal do „nieśmiertelnych bogów", a miewałem go dość często za to, że zrobili ze mnie trochę pedagoga a trochę literata, to żal ten nie tylko się umniejszył, ale nawet znikł zupełnie wobec położenia rodziców i opiekunów, którzy zjeżdżają do Warszawy i innych miast w Królestwie, by swe dzieci umieścić w szkołach. Jest to kwestya bieżąca tak szybko, że ani nawoływania prasy, ani narzekania rodziców, ani płacz dzieci nie wstrzymuje jej w biegu, leci, pędzi, łamie niejedno marzenie, niejedną nadzieję a czasem i życie, a jak dotychczas, załatwioną nie jest, i kto wie kiedy będzie?

Oto doniosły już codzienne pisma, że w Warszawie jest — a może dziś już nie ma — kilka miejsc w gimnazyum III, zaś tylko w gimnazyum V urządzono klasę paralelną—policzmy ilu jest kandydatów, a ilu z nich znajdzie pomieszczenie — jakaż smutna perspektywa!

Pozostają tedy szkoły prywatne, które, pomijając już wyższe koszta, niestety! nie odpowiadają wymaganiom pedagogicznym; mówiąc to mamy na myśli przeważnie pensyonaty żeńskie, których zadaniem jest kształcenie przyszłych obywatelek i matek. A czyjaż wina że pensyonaty te nie odpowiadają warunkom pedagogicznym i kształcą niedostatecznie? Oto niemal w równej mierze wina spoczywa tak na paniach przełożonych jak i na rodzicach.

Weźmy do ręki którykolwiek program, spotykamy tam w wyższych klasach następujące przedmioty: religią, historye: powszechną i rosyjską; literaturę: powszechną, polską, rossyjską, niemiecką, francuzką; języki: polski, rosyjski, niemiecki, francuzki, angielski; algebrę; geometryą; fizykę; nauki przyrodnicze; geografią; a często jeszcze wykładają: fizyologią, nauki społeczne, estetykę, pedagogikę, wreszcie rysunki, konwersacya w obcych językach, gra na fortepianie i tańce.

Jakiż olbrzymi zakres! Czy może młody umysł panny 14 lub 15-letniej podołać należycie takiej ilości przedmiotów? czy znajdzie uczennica chwilkę wolnego czasu na odpoczynek? czy hygienicznie nie naraża się na utratę zdrowia? Ale pomijając te względy, zgódźmy się chwilowo na następstwa, lecz niech przynajmniej nauka przyniesie owoce, niechaj one się nauczą czegoś,—lecz i to jest *niemożliwem* przy największej pilności i zdolności, bo każda świeża myśl, każdy nabytek umysłowy potrzebuje sporo czasu na przyswojenie go sobie, na przetrawienie, że się tak wyrazimy—a tego nieodzownie potrzebnego czasu brakuje uczenicom.

Gdy pewnego razu zwróciłem się do bardzo wykształconej kobiety i przełożonej pensyonatu z takiem pytaniem, odpowiedziała, bym przyszedł w czasie zapisu uczenic. Przyszedłem i wysłuchałem olbrzymi szereg wymagań mam, ciotek, kuzynek etc.: niemal każda żądała dla swej pupili uczenia nadprogramowych przedmiotów, mimo że sam program jest olbrzymi i nad siły dziecka. Cóż ma robić przełożona? Napróżno tłomaczy, usprawiedliwia się—nic nie pomaga, rodzice życzą sobie by ich dziecko uczyło się, nie dbając o to, że ono niczego się nie nauczy, a straci zdrowie, świeżość bystrość umysłu, i znużone, zaprzestanie myśleć samodzielnie. Nie wątpimy, że każda matka pragnie szczęścia i nauki dla swego dziecka—lecz postępując tak, jak to wykazaliśmy wyżej, — a są to fakta wzięte z życia,—czyż matka przysparza dziecku nauki, czy rozwija umysł i czy pamięta że zdrowie jest najdroższym skarbem, którego nabyć nie można!

Że nasze przełożone podają program niemal nie dający się urzeczywistnić z powodu nadmiernej ilości przedmiotów—przyczyny należy szukać w rywalizacyi. Znamy jednę przełożoną renomowanego pensyonatu, która do uczenia nauk społecznych wezwała medyka, sądziła bowiem w swej naiwności, że fizyologia a nauki społeczne niczem się nie różnią. Jest to fakt autentyczny, który jaskrawo maluje tę chęć rywalizacyi i dążenie do zrównania się z innym pensyonatem.

Lecz nietylko w programie spoczywa niebezpieczeństwo bezpotrzebnego przeciążania młodych umysłów, bo ostatecznie acz z wielkim trudem i mozołem dałoby się jedno z drugiem połączyć, lecz sposób uczenia, sama technika jest fatalną i bezowocną w swych skutkach. Oto każdy z nauczycieli wykłada na własną rękę swój przedmiot, nie bacząc na inne przedmioty, każdy wymaga dla swego przedmiotu szczególnej predylekcyi i nauki uczenic. Weźmy przykład: p. X. wykłada historyę powszechną XIV wieku, p. Ż. w tejże klasie uczy literatury powszechnej z w. XVI, a p. Y. literatury polskiej z XVII w., każdy z nauczycieli ma swój pogląd na historyą, która stanowi tło jego wykładów, następnie każdy wymienia kilkadziesiąt panujących i faktów historycznych a nie mając czasu jaśniej i głębiej przedmiot uboczny np. przy literaturze historyą uczenicom wyłożyć, zadawalnia się pozorem, czczym blichtrem. Gdyby tak zajrzeć do główki uczenicy, znaleźlibyśmy tam większy chaos, aniżeli przed stworzeniem świata i do tego z chaosu tego nic nie wyjdzie, prócz mglistych i bezmyślnych słów. Wzięliśmy dla przykładu tylko trzy przedmioty, lecz uczenica ma ich co najmniej dwadzieścia!

A gdy uczenica wyjdzie z pensyonatu, mamusia, ciotunie etc., etc chwalą się, że ich córeczka tak wiele się uczyła „jak jaki chłopiec", lecz czy się zapytają czego się nauczyła? My wątpimy, sądząc z wymagań!

To złe toczące skirem młode pokolenie, da się jednakowoż usunąć, potrzeba tylko dobrej woli rodziców, zaufania do przełożonej, która powinna posiadać wykształcenie pedagogiczne i która prowadzić powinna swój zakład nietylko dla zysków materyalnych, lecz z powołania nauczycielskiego. Zaś zgodność programem objętych nauk da się uzyskać, gdy przełożona wezwie nauczyli do złożenia szczegółowej relacyi jak i w jaki sposób wykładają przedmioty im poruczone, a następnie z tych szczegółowych danych ułoży program, któryby bezwzględnie zobowiązywał nauczycieli,—jest to tem konieczniejsze, że nie posiadamy odpowiednich podręczników.

Ta jednolitość i zgodność programu—wyznaję to z całą przyjemnością — nie jest moim pomysłem, lecz jednej z przełożonych VI-klasowego zakładu żeńskiego, która z prawdziwem poczuciem obywatelskiem i pedagogicznem dba o rozwój swego zakładu i tak upragnioną jednostajność programu w życie wprowadza. O ile nam wiadomo (a znamy dobrze te stosunki), jest to pierwszy przykład godny zaiste by inne panie przełożone, tak chętnie wszystko naśladujące, wprowadziły go do swych zakładów.

Przemawiamy tu w interesie dzieci, przyszłych obywatelek kraju, i radzibyśmy, by te słowa nie przebrzmiały bez echa.

Gdy już mówimy o szkołach, to nie zawadzi wspomnieć o wydawaniu czasopisma pedagogicznego pod tytułem „Przegląd pedagogiczny". Koncesyą otrzymał p. Eugeniusz Babiński, przełożony zakładu naukowego męzkiego. Pismo to ma wychodzić, począwszy od 1 października r. b., co dwa tygodnie zeszyt. Przegląd ten będzie obejmował: a) artykuły treści ogólnej w kwestyach pedagogicznych; b) artykuły z zakresu historyi pedagogiki; c) artykuły z zakresu psychologii w zastosowaniu do pedagogiki; d) hygiena szkolna; e) statystyka i metodyka szkolna; f) rozbiory książek dla dzieci i podręczników szkolnych; g) sprawozdania z działalności pedagogicznej w Cesarstwie i zagranicą; h) ogłoszenia dotyczące szkoły. Jeźli można wierzyć głoszonym wieściom, redaktorem tego pisma ma zostać p. Adolf Dygasiński, znany specyalista pedagog. Nie wątpimy, że w takim razie pismo zyska wiele, gdyż nie widzimy nikogo w Warszawie, któryby był godniejszym na redaktora „Przeglądu pedagogicznego".

Mam ja towarzysza niedoli literackiej, który nie wiem już z jakiej racyi nazwał się z łacińska „*Quis*", zamiast poczciwie pisać „Ktoś", dzielny ten mąż w ostatnim numerze „Kłosów" w swem „pokłosiu" zamieścił następujące słowa: „W wykazie bibliograficznym roku bieżącego zawistny los wykreślił z działu wydawnictw peryodycznych „Przyrodę i przemysł", redagowane przez zasłużonego prof. byłej Szkoły Głównej K. Jurkiewicza. Pismo pomimo wszelkich starań redakcyi i nakładu wydawców, upadło dla braku prenumeratorów. Oto jak szanowny profesor jednemu ze znajomych ogłosił upadek pisma: „Z żalem donoszę Panu, że „Przyroda" z d. 1 Lipca kończy swój cichy żywot, dzięki obojętności ogólnej. Przyniosła ona dotąd wydawcom dotkliwe straty a na lepsze czasy się nie zanosi. Czy zostanie jeszcze kiedy wskrzeszoną, nie wiem, ale na dziś mamy już dosyć. Zresztą Salamoński ma zamiar wypędzenia kilku amazonek, a potrzebujemy przecież wyposażyć te biedactwa, jak wyposażyliśmy pannę Jenny. Wobec tak ważnych potrzeb narodowych o wspieraniu piśmiennictwa krajowego mowy być nie może."

Dotknąwszy tak naszą wiejską inteligencyę, pan *Quis* uczynił wycieczkę na wszystkich, którzy szeroko i wiele rozprawiają o naukach przyrodniczych a pismu upaść pozwolili.

Trzeba państwu wiedzieć, że w kronice skandalicznej wyższych (?) sfer sprawa panny Jenny tak się miała. Brzydka, o konopianych włosach, z olbrzymiemi nogami amazonka cyrku, Angielka, panna Jenny spadła z konia — ujęli się za nią niektórzy z pp. wystawców i dali jej sposób do życia i rehabilitacyi konnej jazdy kupując jej składkowym sposobem konia z rzędem. Czy tylko miłosierdzie niemi powodowało? w to nie wchodzimy. Ale faktem jest, że nasza inteligencya wiejska to

zrobiła — ale i to jest faktem, iż nie prenumerowała „Przyrody", a co do zarzutu p. *Quis*, proszę zważyć, czy np. ja, wielki wielbiciel nauk przyrodniczych mogę sobie na taki zbytek jak prenumerata „Przyrody" pozwolić? A takich chudych wielbicieli nauk przyrodniczych spotkamy całe setki — ale jeśli kto popiera i prenumeruje dzienniki i czasopisma to tylko bogatsi, którzy tymczasem woleli p. Jenny wyposażyć. Słowa tedy p. Jurkiewicza są nagą prawdą, a wycieczka p. *Quisa* jest, ot piękną tyradą.

Jestem demokratą z imienia i przekonań — zdawałoby się tedy, że nie uznam i nie pochwalę niczego co wyjdzie z arystokracyi (i zrobiłbym tak, gdybym miał choć kroplę krwi p. A. Goraja, lecz na szczęście, tak nie jest), tymczasem każdy czyn naszych *nieobecnych* witam z radością, bo spodziewam się, że już przyszła chwila w której francuzczyzna, kastowość, rodowe wyobrażenia i kosmopolityzm znikły, a arystokracya idzie ręka w rękę z narodem. Więc z prawdziwą przyjemnością zawiadamiam łaskawe czytelniczki o obywatelskim czynie hr. Branickiego, który ofiarował sumę *trzech* tysięcy rubli na podtrzymanie pisma poświęconego naukom przyrodniczym. Oby przykład ten znalazł naśladowców, a przynajmniej prenumeratorów!

Znałem ja pewną wysoce wykształconą i inteligentną kobietę, która pewnego razu powiedziała mi, że każdy człowiek jest mniej lub więcej waryatem w swem życiu; — nie wiem czy ona czy też jej słowa taki wpływ na mnie wywarły, dość że zdawało mi się chwilami, że już jestem waryatem. Myśl ta trapiła mnie niesłychanie. Aby się z niej wyleczyć, poszedłem do szpitala obłąkanych t. z. Bonifratrów. Nader przykry obraz ujrzałem przed sobą, bo pomijając już bolesny i upokarzający naszą dumę rozumu widok samych waryatów, ale ich pomieszczenie w murach, klitkach smutnych i posępnych, nawet najzdrowszego mogłoby przyprawić o szaleństwo. To też z prawdziwą radością powitałem wiadomość, że niedaleko stacyi Pruszkowa we wsi Tworki ma być zbudowany zakład leczniczy dla umysłowo chorych; ma się on składać z oddzielnych domków, wśród świeżego powietrza i zieleni, by tym sposobem umożliwić wyleczenie, a przynajmniej życie tych biednych istot uczynić znośniejszem.

Sądzę, że dla szanownych czytelniczek archeologia nie jest wilkiem żelaznym, lub nudną i ciężko uczoną marą, przed którą należy uciekać, lecz uważacie ją sz. czytelniczki jako bardzo miłą i szlachetną naukę, podobnie jak i ja, gdyż archeologia odsłaniając przed nami cały szereg tysiącoleci, uczy spoglądać na teraźniejszość bez namiętności, i nie zapominać, że i dzisiejsza epoka zniknie, jak znikły poprzednie, a z drugiej strony archeolog widzi nieustanny postęp i rozwój ludzkości na drodze do szczęścia i nie zachwieje się nigdy w tej wierze, nie zostanie nigdy czcicielem „dawnych, dobrych czasów", ani też pessymistą à la uczniowie Schoppenhauera lub Hartmana.

Ten ustęp o archeologii napisałem pod wpływem wiadomości o śmierci nader zasłużonego archeologa d-ra Ferdynanda Kellera, który 23 lipca zmarł w Zurychu, dożywszy 82 lat, i ta ziemia, której wydarł tajemnice tysiącolecia, ujęła w swe ramiona i pogrzebała nazawsze tajemniczą siłę inteligencyi i pracy uczonego męża. Keller był założycielem dziś najbogatszego w palafity (mieszkania najeziorne) muzeum starożytności w Zurychu, on był twórcą towarzystwa archeologicznego w Szwajcaryi i redaktorem, wydawcą i założycielem znanego archeologom cennego, źródłowo opracowanego pisma p. t. „Mittheilungen der antiquarischen Gesellschaft des Cantons Zürich". Lecz głośną swą sławę i pierwszorzędne swe stanowisko zawdzięczał odkryciu palafitów w Obermeilen przy jeziorze zurychskiem w suchej zimie r. 1853 na r. 1854. Ważna i nader ciekawa ta gałęź archeologii, jemu zawdzięcza swe powstanie, a nauka wogóle zaczerpnęła z głębokich studyów Kellera i jego towarzyszy ten nader ważny w historyi cywilizacyi pewnik, że pierwsze promienie jasnego słońca cywilizacyi padły na Europę z północnej Afryki, a nie jak dotychczas mylnie sądzono z Azyi, któryto kraj miał być kolebką naszej cywilizacyi. Do ostatniej niemal chwili życia zacny i uczony ten człowiek pracował wytrwale, z pożytkiem dla nauki i ludzkości — cześć jego pamięci!

Gdyśmy już blizko grobów, to wspomnijmy o śmierci Elżbiety z Baumanów Jerichau, która zmarła dnia 11 lipca r. b. w Kopenhadze. Urodzona w Warszawie w r. 1818 z ojca kupca i matki Szwajcarki, guwernantki, życiem swojem dała dowód co może energia i silna wola mimo sprzeciwiań się rodziców, braku środków do życia, odsunięcia się od niej najbliższych, niezbyt świetnego talentu; Bauman wytrwałością i pracą zdobyła sobie uznanie i sławę, jako artystka-malarka. Poszedłszy zamąż w r. 1845 za artystę malarza Jerichau, pracowała i nadal skutecznie nad udoskonaleniem swego talentu, a począwszy od roku 1858, gwiazda pomyślności nie opuściła jej do ostatnich chwil życia. W roku 1861 mianowano ją członkiem akademii, na wystawie paryzkiej w r. 1867 dostała medal pierwszego stopnia — wreszcie była rzeczywistą profesorką w akademii sztuk w Kopenhadze. Takiego przykładu wytrwałości, pracy i energii trudno znaleźć pomiędzy mężczyznami, a cóż dopiero u kobiet, to też mamy prawdziwy szacunek dla niej jako kobiety z charakterem samodzielnym, a wysoko cenimy jako oryginalną artystkę.

Na zakończenie, zostawiliśmy miłą wiadomość, że w b. r. zostanie otwartą nowa szkoła rzemiosł dla kobiet, której założycielką ma być jedna z *dam*, tak przynajmniej donosi „Echo" i tak nazywa założycielkę.

Wojciech Lubicz.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

┼ J. I. Kraszewski pisze do „Tygodnika Illustrowanego", prosząc inne pisma o powtórzenie.

„Wiem że ofiarności ogółu nadużywać się nie godzi, ani też powoływać do nowego czynu właśnie w chwili gdy tyle ich mamy do zapisania i zawdzięczenia społeczeństwu naszemu; lecz są wypadki usprawiedliwiające natręctwo, a taki właśnie zmusza mnie odezwać się w sprawie języka polskiego w Prusach wschodnich—lub, jeźli chcecie, w sprawie gwary Mazurów pruskich, która jest małą odmianą wspólnej naszej mowy."

Oto co pisze do niego p. Gers, wydawca jedynego w tej prowincyi dziennika „Gazety leckiej" (Lötzen): „Kocham bardzo mowę polską, bo śliczna, jakby ją filozofowie utworzyli. I moja mowa macierzyńska jest też polska, choć mazurska. Mowa mazurska jest dyalektem mowy polskiej, a język piśmienny jest zupełnie polski, ale taki jakiego używano w Polsce w XVI wieku. Język ludowy różni się od mowy piśmiennej; z małym wyjątkiem, drugi przypadek liczby mnogiej brzmi na *ów*: mężów, babów, korytów, i t. p. Trzeci przypadek kończy się na *am:* mężam, babam, dzieciam; cz, sz, szcz, brzmią: c, s, sc, np. cas, scery, scaw. Zamiast misa, Mazur mówi nisa; zamiast miech, niech; zamiast wielki, jelki, ale piszą: misa, miech, wielki. Mało jest Mazurów nie umiejących czytać, gdyż dzieci muszą uczęszczas do szkół; oprócz książek religijnych, drukowanych gockim drukiem, prawie wcale polskich książek nie mają. Narodowo-polskich, w Polsce drukowanych, nie rozumieją; moje pisma chętnie czytają. Dlatego od r. 1822 wydawałem różne książki, tak iż w r. 1882 będę mógł obchodzić 60-cio letni jubileusz autorski. Od r. 1875 wydaję „Gazetę lecką", ale jest tylko 211 abonentów. Każdy egzemplarz czyta najmniej 20 osób, co czyni przeszło 4,000 czytelników, ale cóż to znaczy na 500,000 Mazurów. Chcąc powiększyć liczbę abonentów, trzeba koniecznie zniżyć cenę, bo Mazury chętnie czytają, ale nie ochotnie płacą. „Gazetę lecką" redaguję już siódmy rok, zgoła darmo, z przekonania; sam więc ceny „Gazety leckiej" obniżyć nie mogę, albowiem straciłem dużo... i teraz nic już nie mam. Trzebaby na to 400 do 500 talarów subwencyi na cztery lata... Jeźliby mnie wesprzeć chciano, dałoby się to dokonać: 1) subwencyą pieniężną; 2) abonowaniem gazety; 3) dobrze byłoby gdyby wydawcy książek raczyli przysełać niekiedy klisze, gdyż Mazury lubią obrazki. Najgorętszem mojem dążeniem jest oświata Mazurów w ich macierzyńskiej mowie polskiej; *jeźli pomoc przyjść może, niech przyjdzie rychło, bo dalej nie wytrzymam.*"

Należałoby wesprzeć gorliwe usiłowania pana Gersa pracującego już lat sześćdziesiąt na polu duchowej pomocy dla braci Mazurów, poratować go w przykrem jego materyalnem położeniu.

Adres p. M. Gersa: Lötzen, Ost Preussen.

┼ Biedni ci Niemcy! tak się czują ubogimi w wielkie znakomitości, iż coraz nowe przywłaszczają sobie od sąsiadów. W zeszycie 318 dzieła niemieckiego „Otto Spaners Illustrirtes Konversations — Lexikon für das Volk" zamieszczony jest obszerny artykuł o malarstwie, a w nim alfabetyczny spis znakomitszych współczesnych malarzy, ułożony według narodowości i miejsca pobytu. W spisie tym nie ma wcale malarzy Polaków, ale zato Matejko zamieszczony jest pod rubryką „Im übrigen Deutschland", Siemiradzki zaś zaliczony do szeregu „Deutsche in Italien". Bodajto umieć sobie radzić!...

┼ Jedna z gazet francuzkich zwraca uwagę czytelników, że obecnie w polityce nader ważną rolę odgrywa litera G. W Rossyi na pierwszym planie stoi Gorczakow, a po nim Giers; w Grecyi Georgios, w Anglii Gladstone; we Francyi rządzi Grevy, a za kulisami Gambeta; w Algierze także dotąd był Grevy; Włochy mają Garibaldego, a w Ameryce na prezydenta Garfield'a dopuścił się zamachu Guittau.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 28 Іюля 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

RENATA,

przez

STEFANA MARCEL.

(Dalszy ciąg.)

Drżący ze wzruszenia upadł na totel, i zawołał znów chwytając rękę siostry spoglądającej na niego z żywem wspołczuciem:

— Powiedz mi, Renato, ty, dla której ona nie miała żadnych tajemnic, czy ona domyślała się tego?... Sądziła zapewnie że chciałem znaleźć chleb gotowy, że szukałem posagu abym mógł opływać w zbytkach... Ta myśl ją zabiła? Kobieta tak szlachetna jak ona, nie mogła pogodzić się z tą myślą że ściągnąłem jakąś plamę na nasze nazwisko, nie mogła żyć wstydząc się za mnie. Tak więc to ja jestem przyczyną jej śmierci, pomimo że ją kochałem... Tak, kochałem ją, kochałem bardzo... a jednak zabiłem ją!...

Łzy stłumiły głos jego, i ścisnął tylko silniej drżącą rękę siostry.

Sylwia może pierwszy raz w życiu doznała równie silnego wzruszenia. Była przekonaną że w sercach wszystkich mężczyzn w ogóle znajduje się zaledwie mikroskopijna doza czułości, i nie przypuszczała nigdy aby jej siostrzeniec był do tego stopnia tkliwym. Renata znała lepiej Gwidona, więc też zawsze lepsze miała o nim wyobrażenie, i nie sądziła go tak surowo. Teraz widząc go tak wzruszonym zbliżyła się do niego z najżywszem współczuciem, i kładąc drżącą rękę na jego głowie, rzuciła porozumiewające spojrzenie na ciotkę Sylwię której też zaraz przyszła ochota przyjrzeć się obrazom znajdującym się w przyległym pokoju. Renata odezwała się wtenczas składając pocałunek na czole brata:

— Po co się dręczysz tworząc tak bolesne przypuszczenia, mój dobry Gwidonie; ta której płaczemy błogosławiła cię do ostatniej chwili życia. Czy nie widziałeś że jeszcze przed skonaniem szukała cię oczyma i uśmiechała się do ciebie?... Prawda, że zmartwiłeś ją bardzo, że w chwili uniesienia napełniłeś ciężkim niepokojem jej macierzyńskie serce; ale wszystko to przeszło tak prędko, a przedtem już przebyła tak ciężkie próby!... Bóg powołał ją do siebie, bo cnotliwem swem życiem zasłużyła już sobie na wiekuiste szczęście,... i dusza jej opuściła nas, aby połączyć się z duszami swych ukochanych zmarłych, z naszą matką. Już to samo powinno cię przekonać że serce jej było wolnem od wszystkiej niechęci, skoro z tak szczerą miłością przycisnęła Melinę do swego serca, i nawet w dniu twego ślubu była zupełnie spokojną.

— O! gdyby żyła dłużej, byłaby nie tylko spokojną ale i szczęśliwą! przerwał Gwidon trochę już uspokojony słowami siostry. Ja i Melina otoczylibyśmy ją tak tkliwemi staraniami, dowodami tak gorącego przywiązania!.. Cieszyłaby się patrząc na nasze szczęśliwe i zgodne pożycie!...

— A więc niech cię pociesza ta myśl że i teraz patrzyć i cieszyć się będzie, odpowiedziała Renata wznosząc ku niebu oczy pełne niebiańskiego spokoju. O! mój drogi Gwidonie, niech przykład jej wzniosłych cnót i gotowości do wykonywania onych nie będzie dla nas straconym. Naśladujmy ją dla uczczenia jej pamięci; żyjmy cnotliwie, zgodnie, spokojnie, jak gdyby ona była jeszcze z nami, i uśmiechając się do nas z czułością przytrzymywała nas przy domowem ognisku.

— Rozumiem cię, Renato, odpowiedział Gwidon łagodnie, nie możesz mówić tego do siebie, mój ty prawdziwy aniele; upominasz mnie w jej imieniu i zachęcasz do umiarkowania, roztropności, do pracy i do wszystkiego co przynosi zaszczyt i szczęście rodzinom.

— Drogi mój bracie, tylko ona, ta święta nasza babka, miała prawo upominać cię i wspierać swą radą... Ją przypominam ci tylko, że przyrzekłeś jej starać się o to aby nazwisko twoje było szanowanem, i uszczęśliwić naszą Melinę.

— I ciebie także, Renato, ciebie najlepszą z nas wszystkich, i najgodniejszą z nas wszystkich! zawołał Gwidon przyciskając siostrę do serca. Dziękuję ci moja pocieszycielko, siostro, przyjaciółko, która nie zwątpiłaś o mnie, która byłaś i będziesz zawsze moim aniołem stróżem i potrafisz mnie uchronić od upadku!

Piękną twarz Renaty rozjaśnił promień błogiej nadziei, gdy usłyszała te słowa brata, i rzekła opierając głowę na jego ramieniu:

— Nie mów tego, mój drogi Gwidonie, od upadku może cię tylko uchronić łaska Boża... i jej modlitwy, dodała zatrzymując wzrok na portrecie babki.

Dzięki tej pocieszającej rozmowie z siostrą, Gwidon uspokoił się, i pełen najlepszych zamiarów z większą ufnością spoglądał w przyszłość. Wprawdzie wyjechał zaraz do Paryża gdzie pozostawił swą drogą Melinę, ciągle jeszcze słabą, ale zaledwie zabłysło wiosenne słońce, wrócił wraz z nią do starej siedziby swych ojców, gdzie teraz wszyscy mieli żyć razem i tworzyć jedną rodzinę. Podał się zaraz do dymissyi, aby nie być wystawionym na pokusy których tak trudno uniknąć żyjąc w wielkim świecie. Postanowił zamieszkać stale na wsi, poprzestać na cichem rodzinnem życiu. Utrzymywać dom wygodnie, nawet z pewną okazałością, ale zająć się gorliwie pracą, i starać się jedynie o to, aby zostać dobrym i postępowym rolnikiem.

Gwidon dotrzymał sobie słowa; zrozumiał jak wielkie i poważne ciążą na nim obowiązki, i czuł się z tego dumnym że wywiązuje się z nich zaszczytnie. Wprawdzie niekiedy tęsknił za burzliwem życiem światowem, ale kilka słów Renaty, tkliwy uśmiech Meliny uspakajały tę gorączkę, i po krótkiej walce z sobą wracał do pracowitego i użytecznego życia. Tym sposobem spokój i szczęście panowało w tej rodzinie która tak ciężkie przebyła próby. Sylwia zdawała się odmłodzoną, zawsze czynna, pracowita, dopomagała Melinie do utrzymania wzorowego porządku w domu. Renata, obok powagi i żałobnego ubrania, nigdy może nie była piękniejszą. Odkąd, dzięki zamożności brata, polepszyło się jej położenie, odbierała mnóstwo bardzo grzecznych zaproszeń, zdawało się że każdy pragnie widzieć ją u siebie, ale wymawiała się zwykle swą żałobą. Była jednak szczęśliwą, i żałowała tego jedynie że ukochana babka nie mogła wraz z nią cieszyć się z rozumnego postępowania i szczęścia ukochanego wnuka. Co do młodej margrabiny, ta była prawdziwem uosobieniem szczęścia i słodyczy; uśmiech błogiej radości nie znikał prawie z jej świeżych usteczek, i rozpromieniał jej śliczne, błękitne oczy. Pan Mercier nakoniec nie mógł dość nacieszyć się szczęściem swego dziecka, ani znaleźć słów na pochwałę zięcia. Jakkolwiek zestarzał się i tracił widocznie siły, na twarzy jego malowało się najżywsze zadowolnienie skoro przestępował progi zamku Plouernel, a wróciwszy do la Rouërie unosił się nad wysokiemi przymiotami swego *zięcia margrabiego* przed każdym kogo spotkał. Był jednak ktoś taki, którego można było także zaliczyć do rodziny, a którego serce dręczył tajemny niepokój.

XVII.

Oświadczyny.

Alfred Mercier często odwiedzał teraz ojca, pomimo że zajmował się gospodarstwem w dobrach, które pan Mercier nabył w sąsiednim departamencie.

— Ten biedny ojciec nudzi się sam jeden, mówił, z tego powodu więc ja, który nie mam innych obowiązków i żyję także samotnie, staram się rozerwać go choć trochę.

Przyjeżdżali razem do Plouernel, a Renata witała zawsze z przyjemnością swego dawnego i szczerego przyjaciela, dla tego też zadziwiło ją to bardzo, że prawie w rok po śmierci margrabiny przestał bywać u siostry, że pan Mercier pokazywał się także rzadko i zdawał się zawsze niespokojny i zakłopotany, a Melina zamiast się tem martwić, uśmiechała się z zadowolnieniem, przybierając jakąś tajemniczą minkę. Nakoniec po upływie paru tygodni, w ciągu których były notaryusz nie był wcale w Plouernel, tłomacząc się słabością zdrowia, młoda margrabina powróciła pewnego dnia z la Rouërie nader wesoła i ożywiona, zapowiadając wizytę ojca na dzień następny.

— Więc pan Mercier już odzyskał zdrowie? zapytała Sylwia.

— Tak... to jest... nie zupełnie jeszcze, odpowiedziała Melina, rzucając filuterne spojrzenie na Renatę, która siedząc na balkonie haftowała leciuchną zasłonę do pokrycia kolebki, bo spodziewano się właśnie, że w starym zamku Plouernel zjawi się wkrótce mały aniołek.

— Rzeczywiście, pan Mercier przybył nazajutrz zaraz po południu.

— Mój Boże! cóż się to stało?... Czarny frak, biała kamizelka! zawołała Sylwia, patrząc na wysiadającego z powozu pana Mercier. Melino, czy ojciec twój sądzi że dzis bal wydajesz?

— Nie wiem, sądzę jednak że ojciec wytłomaczy nam dla czego ubrał się tak starannie.

Ale nie tylko że pan Mercier nie wytłomaczył nic wcale, ale znać było że pragnął aby nie zwracano uwagi na jego frak i biały krawat; złośliwa trochę Sylwia miała wielką ochotę żartować z niego, ale powstrzymała się widząc że spogląda często na Renatę z wzrastającym ciągle niepokojem i obawą. Nakoniec, po herbacie, gdy panna de Plouernel oznajmiła że ma zamiar przejść się trochę po parku, pan Mercier powstał także jakby powziął jakieś postanowienie, i prosił aby mu pozwoliła towarzyszyć sobie.

— Najchętniej, odpowiedziała trochę zadziwiona. Ale czy ta przechadzka nie zmęczy pana? Może

partya tryktraka z ciotką Sylwią byłaby dla pana przyjemniejszą i nie tak nużącą

— O! bynajmniej, droga panno Renato, odpowiedział z żywością. Pragnę pomówić z panią na osobności... wywiązać się z danego mi polecenia... polecenia bardzo ważnego, dodał, gdy weszli już w ulicę ocienioną odwiecznemi dębami.

Renata spojrzała z zadziwieniem na starca, który z trudnością wypowiedział te słowa i pobladł widocznie.

— Mój Boże! mówił dalej wstrząsając siwą głową, skoro pomyślę ile już zmartwienia sprawił mi ten bolesny niepokój, ile jeszcze przyniesie mi, prawdopodobnie, pani postanowienie, odpowiedź którą zapewnie usłyszę od pani!... Cóż czynić... takiemu starcowi jak ja już, ta sama myśl powinna dodawać odwagi, że już nie długo cierpieć będzie... Dla tego też postanowiłem powiedzieć pani wszystko... Idzie tu o mego syna Alfreda... o jego szczęście... Czy już nie odgadłaś tego, panno Renato, że syn mój kocha cię... kocha od dziecinnych lat swego życia. Wie,—jak mi to sam powiedział, że nie jest godnym ciebie; jednak w ostatnich czasach w sercu jego zabłysnął promyczek nadziei.... wszakże brat pani, margrabia Gwidon, nie pogardził ręką jego siostry... Dla tego też polecił mi abym zapytał pani, błagając choćby na klęczkach jeźli tego będzie potrzeba, czy może mieć nadzieję otrzymania kiedyś twej ręki, jedynego dobra, jedynego skarbu, jaki pragnie pozyskać na świecie?

Pan Mercier mógłby długo jeszcze mówić zanimby zdumiona Renata potrafiła zdobyć się na odpowiedź Zatrzymała się zaraz przy pierwszych jego słowach, zbladła, i wsparta o drzewo zwróciła na twarz starca śliczne swoje oczy, w których widać było smutek i wyraz bolesnego zadziwienia. Następnie starała się coś odpowiedzieć, ale odstąpiła ją zwykła przytomność umysłu, a z ust jej wychodziły słowa przerywane bez związku.

— Alfred... moją rękę... panie Mercier... Któż mógł domyślić się tego... przewidzieć...

— Widzę, rzekł wtenczas starzec, pochylając głowę, że moje żądanie,—powinienbym raczej powiedzieć moja pokorna prosba, zadziwiła panią. Przed osobą tak szlachetną nie umiałbym zataić prawdy... wyznaję więc że zadziwia mnie także, który tę prośbę zanoszę do ciebie, mnie, który tak długo opierałem się temu! Powiedziałem że biedny mój syn kocha cię od dawna, wyraziłbym się właściwiej mówiąc że kochał cię zawsze. Ja, jego ojciec, domyśliłem się tego od razu: trudno byłoby nie odgadnąć uczuć rozwijających się w sercu ukochanego dziecka, będącego celem najtroskliwszych naszych starań... Ale udawałem że nic nie widzę, i starałem się wybić mu to z głowy. Jak pani wie, zajmowałem się całe życie interesami i jako mieszczanin nie mam szlacheckich zasad i wyobrażeń o warunkach niezbędnych do zawarcia dobranego małżeństwa: według mnie, mąż powinien przedewszystkiem wnosić piękne imię, wyższe stanowisko społeczne, a żona, niezbędnie majątek!... Nie życzyłem więc sobie abyś została żoną Alfreda, bo pomimo twej piękności, cnót, talentów, szlachetności serca i urodzenia, marzyłem jeszcze o... wielkim posagu. Postępowałem źle, ale wolę przyznać się do tego, ponieważ inni mogli to odgadnąć i uwiadomić cię o tem. Przebacz mi, nie przez wzgląd na mnie, ale przez życzliwość dla tego szlachetnego chłopca, który oczekuje na twą odpowiedź drżący, miotany rozpaczliwym niepokojem... Tak, panno Renato, wyznaję że walczyłem z moim synem długo, uporczywie: uczucia Alfreda nie uległy zmianie... zostałem zwyciężonym... Dla tego to dziś błagam cię pokornie i drżę przed tobą. Spojrzyj koło siebie, a to co zobaczysz może wzruszy twe serce; już pan margrabia ożenił się z moją córką, nadał jej swoje nazwisko, i są tak szczęśliwi... Zlituj się nad Alfredem, przebacz mi, wynagródź jego wierne i głębokie uczucie.

Przestał mówić, zdjął czapkę, a potem z głęboką czcią i pokorą, pochylił przed Renatą siwą swą głowę.

Panna de Plouernel odzyskała tymczasem spokojność, i rzekła poważnie podając rękę starcowi:

— Nie mam powodu gniewać się na pana; miałeś prawo układać co do przyszłości syna takie plany jakie według pana przekonania mogły zapewnić mu szczęście. Prędzej więc ja powinnabym prosić o przebaczenie, gdyż dziś odbieram od pana bardzo pochlebny dla mnie dowód szacunku i przyjaźni, a nie mogę dać panu przychylnej odpowiedzi. Jestem wdzięczną panu Alfredowi za jego uczucie, ale... nie pójdę nigdy za mąż.

Pan Mercier zwrócił na Renatę bystre, przenikliwe spojrzenie.

— Byłem tego pewny, szepnął uśmiechając się smutnie.

Potem uchwycił z żywością ręce Renaty i zawołał:

— Ale to nie może być odpowiedź stanowcza! żartujesz zapewnie panno Renato... Zechcesz się zastanowić jeszcze... Może potrafię przemówić do twego serca!... Czy naprawdę nie chcesz zostać siostrą Meliny? Czy nie masz żadnej przychylności do mego biednego syna?

— Nie, panie Mercier, mówiłam zupełnie seryo, odpowiedziała Renata poważnie i z lekkim odcieniem smutku! Jestem prawie siostrą Alfreda, i będę zawsze jego szczerą przyjaciółką; a to przywiązanie moje trwa także niezmiennie od dziecinnych lat naszych. Czuję to jednak że nie jest dość silnem aby mogło mnie skłonić do połączenia się z nim nierozerwalnym związkiem, do przyjęcia na siebie poważnych i wzniosłych obowiązków, wymagających uczucia głębokiego, nieograniczonego.

— Nie kochasz mego syna! nie kochasz Alfreda! zawołał z boleścią pan Mercier, pochylając na piersi swą siwą głowę. Ale, dodał nagle, jakby ożywiony jakąś pocieszającą myślą, nie masz zapewnie, panno Renato, właściwego pojęcia o miłości. Młode dziewczęta tworzą sobie o niej jakieś dziwne, romantyczne wyobrażenia! Aby iść za mąż, nie potrzeba widzieć w swym narzeczonym jakiegoś bohatera lub półbożka... dosyć mieć dla niego szacunek i przyjazne uczucia. Byle oboje byli rozumni i uczciwi, pójdą przez życie ręka w rękę, dopomagając sobie wzajemnie, kochając się i żyjąc zgodnie.

— Sądzę, odpowiedziała Renata łagodnie, że tylko głębokie i silne przywiązanie może być podstawą zgodnego i szczęśliwego pożycia. Co do mnie, nie rozumiem małżeństwa bez tego nieograniczonego uczucia, łagodzącego wszystkie przykrości, ułatwiającego wszelkie poświęcenia, które wywiera wpływ tak błogi na związek Meliny i Gwidona. Zdaje mi się zresztą że mnie inny los przeznaczony... Cieszę się ich szczęściem, ale nie zazdrościłam im nigdy. Dzięki im, nie będę pozbawioną rodzinnego życia, samotność nigdy nie będzie mi ciężyć... Dla tego też nie tylko że nie pragnę zmiany losu, ale wyrzekłam się jej stanowczo... chcę i nadal wieść życie ciche, zdala od świata.

— Zdala od świata! panno Renato... Ale czy to będzie życie odpowiednie dla ciebie, skoro, dzięki twej piękności i znakomitemu urodzeniu, zdajesz się zrodzoną na to aby być widzianą i podziwianą?... Zwróć na to uwagę że żona mojego syna będzie bogatą, bardzo bogatą, że będzie mogła olśniewać wszystkich przepychem... Jeźli więc nie serce, to przynajmniej duma twoja może być zadowolnioną.

— Nie przemawiaj pan do mnie w ten sposób, bo to nie sprawi na mnie żadnego wrażenia, odpowiedziała Renata łagodnie ale stanowczym tonem. Żyłam tak długo zapomniana od świata, w mierności graniczącej z niedostatkiem, że z czasem przyzwyczaiłam się do tego, a nawet polubiłam to ciche moje życie tak dalece, że dziś przekładam je nad wszelkie inne. Jakież więc znaczenie mogę przywiązywać do tych dostatków i zbytków, które otaczały mnie w dzieciństwie choć nie mogłam z nich korzystać, od których następnie odzwyczaiłam się łatwo, a których dziś nie żądam już wcale?

Zdawało się że te ostatnie słowa Renaty sprawiły silne wrażenie na panu Mercier. Kiedy mówiła spokojnie o czasie w którym tak ona jak cała jej rodzina żyła w zapomnieniu i niedostatku, były notaryusz zbladł, usta mu zadrżały, oczy zatrzymały się na twarzy Renaty z wyrazem bolesnego niepokoju; następnie spuścił je wolno i silny rumieniec pokrył jego policzki. Jednak po niejakim czasie znikł ten dziwny jakiś niepokój, i zawołał nagle z wyrazem żywego rozdrażnienia:

— Nie, są jeszcze inne powody dla których odmawiasz Alfredowi; poniewaz i ty panno Renato masz swoje słabostki, i pomimo wszystkich cnót twoich nie jesteś lepszą od nas wszystkich... Nie jesteś wprawdzie próżną, ale jesteś dumną!... Posiadasz piękny tytuł, nazwisko znakomite, starożytne i nie chcesz zamienić go na pospolite mieszczańskie. O! byłabyś daleko dostępniejszą, mówiłabyś zupełnie inaczej, gdyby biedny mój syn mógł ci ofiarować zamiast gorącej i wiernej miłości, tytuł margrabiny, lub książęcą koronę!

— Myli się pan i pod tym względem, odpowiedziała ze spokojną godnością. Posiadam rzeczywiście nazwisko które kocham i cenię wysoko, i którego też nie zmienię nigdy; ale nie idzie za tem abym miała być zaślepiona niezgodnemi z religią przesądami i kastowemi uprzedzeniami... Nie mogłeś pan zapomnieć zapewne tego że gdy szło o związek mego brata z Meliną, ja pierwsza stanęłam w obronie czystego i szczerego uczucia, zapomniałam o różnicy krwi i pochodzenia, aby połączyć Gwidona z moją najlepszą przyjaciółką, z towarzyszką naszych lat dziecinnych, z wybraną jego serca? A więc może mi pan wierzyć, panie Mercier, gdyż zapewniam że mówię szczerze, że to co uczyniłam dla Gwidona uczyniłabym także dla siebie, gdybym czuła że tego wymaga moje szczęście, że to mi nakazuje miłość.

Przestała mówić, a starzec spojrzał na nią z wyrazem boleści, opuścił ręce i pochylił głowę przygnębiony.

— Tak, próżno nalegałbym dłużej... wierzę ci panno Renato. Jest w twoim głosie, w twojem spojrzeniu cóś takiego, co usuwa wszelkie powątpiewanie.. Wierzę iż nigdy nie pójdziesz za mąż... Widzę że nie kochasz mego syna...

— Panie Mercier!... szepnęła.

— Panno Renato, nie mów o twej przyjaźni... na co się to zdało w podobnym razie... Mówiłem tylko że nie dość kochasz Alfreda, że nie kochasz go tak jakbyś chciała kochać męża, jak powinna i może niekiedy kochać żona... A jednak mój biedny syn kocha cię bardzo! Marzył tylko o tobie i nie potrafiłby wyrzec się ciebie, gdybym go nawet miał za to wydziedziczyć... Teraz widzę że już nie pozostało ani iskierki nadziei, tak dla niego jak dla mnie. Jeżeli Alfred dotąd, stosując się do mej woli, zarządzał memi dobrami, to dla tego jedynie iż

spodziewał się że kiedyś będzie mógł mieć swoje własne rodzinne ognisko, swoją własną rodzinę. Teraz, gdy będzie zmuszonym wyrzec się wszelkiej nadziei, nie będę się nim cieszył długo... Wczoraj powiedział do mnie: „Nie rachuj już na mnie... ojcze... Jeźli mi odmówi, wstąpię do wojska."

— Czy pan rzeczywiście obawia się tego? zapytała Renata blednąc. Może jest to tylko groźba wywołana chwilowem rozdrażnieniem i zniechęceniem?

— Nie, panno Renato, znam dobrze mojego syna. Postanowienie jego będzie tem niezłomniejszem, czem milczał dłużej i czekał pokorniej. Jakże mi trudno było uspokoić go i powstrzymać, już wtenczas gdy tu był ten paryżanin... ten pan de Sarrans!

Lekki rumieniec wystąpił na lica Renaty, które następnie pokryły się jeszcze większą bladością.

— Niestety! niech się spełni wola Boża tak dla was jak dla mnie! rzekła po chwili. Żałuję że nie mogę uchronić pana od tego smutku mój dobry panie Mercier, i Bóg tylko wie ile cierpieć będę patrząc na twoje cierpienia; ale nie mogę oszukiwać tak szczerego przyjaciela jakim Alfred był zawsze dla mnie... Nie mogę mu przyrzekać gorącego uczucia i bezgranicznego poświęcenia żony... jak mu przyrzekam niezmienne nigdy przywiązanie przyjaciółki, siostry! Daj Boże aby to zapewnienie mogło złagodzić mu przykrość doznanego zawodu, i zatrzymać go przy tobie, mój dobry panie Mercier!

Starzec wstrząsnął głową z wyrazem głębokiego zniechęcenia, a jednak jakby na pół rozbrojony, przyjął rękę którą Renata wyciągnęła do niego. Gniew jego przeminął, ale nie miał już żadnej nadziei; poznał teraz lepiej Renatę, a od dawnego już czasu znał dobrze usposobienie Alfreda. Jeżeli w tej chwili miał żal do kogoś, to jedynie do losu który udaremniał jego wytrwałą pracę, i w tak bolesny sposób zakończył tryumfy jego życia. Nie szczędził trudów, tak rozumnie korzystał z każdej okoliczności, uciekał się nawet do podstępów, byle zdobyć majątek dla dzieci, wydać córkę za człowieka noszącego piękny tytuł i znakomite nazwisko! I wszystkie te świetne nadzieje miały być po części zniweczone, dla tego że Alfred chciał koniecznie pozyskać jakieś wymarzone, niepodobne do osiągnięcia szczęście, że Renata nie mogła zostać żoną Alfreda. „Niestety! myślał, patrząc machinalnie na zielone drzew wierzchołki, są nieszczęścia od których nie chroni złoto, serca których nie można kupić lub sprzedać, jak się sprzedaje i kupuje pałace, pola albo lasy!" Potem burzyła się w nim duma i mówił do siebie z gniewem: „A jednak nie zawiodłem się co do Meliny... kupiłem jej męża i tytuł margrabiny. Zkąd to pochodzi że, — jak przekonałem się już nie raz, tam nawet gdzie mężczyzni czynią ustępstwa, kobiety nie ustępują wcale?" Ponieważ pan margrabia de Plouernel potrzebował pieniędzy, odpowiadała jego duma. Ponieważ Gwidon kochał a Renata nie kocha, mówiło sumienie.

Skoro wrócili do pałacu smutni i milczący, Melina zbladła i łzy napełniły jej oczy domyśliła się jaki los spotkał Alfreda. Zaraz też po odjeździe pana Mercier, który oddalił się wkrótce, młoda margrabina zaprowadziła Renatę pod jakimś pozorem do swego pokoju.

— Nie chcesz być moją siostrą, rzekła zwracając na nią pełne smutku spojrzenie.

— Wszakże już nią jestem, odpowiedziała Renata ze łzami. Postąpiłabym źle gdybym chciała zostać nią jeszcze inaczej... zresztą dla mnie byłoby to niepodobnem!... Powiedz sama, czy miałabyś siłę oddać serce i rękę komuś innemu, a nie Gwidonowi?

— O! z pewnością nie, odpowiedziała Melina z wyrazem najszczerszego przekonania, a uśmiech szczęścia rozpromienił jednocześnie jej twarzyczkę. Ale to zupełnie odmienne położenie... Czy kochasz kogo Renato?

— Nie, odpowiedziała panna de Plouernel; obecnie kocham was tylko, ale to uczucie które stanowi moje szczęście, moją siłę, tak opanowało moje serce, że już żadne inne nie może znaleźć do niego przystępu... Jeźli zechcesz na to zezwolić, droga moja Melino, dzieci twoje będą mojemi, równie jak wasze nadzieje, szczęście i troski. Już oddawna nie wierzę w to aby mi było przeznaczone inne szczęście. Nie mogę także oszukiwać twego szlachetnego brata; moja przyjaźń, moje szczere przywiązanie do niego nie pozwalają mi na to... Jestem pewna że się pocieszy, że i beze mnie będzie kiedyś kochanym, szczęśliwym i podziękuje mi za to, że mu odmówiłam.

Melina uściskała Renatę, ale nie podzielała jej zdania.

— Niestety! szepnęła z westchnieniem, gdyby jednak rzeczy ułożyły się inaczej, gdybyś była mogła oddać serce Alfredowi, jakże bylibyśmy wszyscy szczęśliwi, jak zgodną i liczną stanowilibyśmy rodzinę!

Renata westchnęła także. Od dawna już wiedziała iż *rzeczy nie układają się* zwykle, stosownie do naszych marzeń i życzeń; taka już wola Boża: ulegamy Jej wielbiąc Jej rozporządzenia, i pognębieni przez chwilę, podnosimy znów głowę, aby iść dalej przez życie, walczyć, uśmiechać się znowu, i już mężniej znosić dalsze próby i cierpienia.

Jedna tylko ciotka Sylwia była zupełnie zadowolniona z jej postanowienia.

— Postąpiłaś słusznie odmawiając mu stanowczo. Byłoby to z twej strony tylko dowodem nagannej słabości gdybyś uległa prośbom pana Mercier, i z pewnością później żałowałabyś tego... Moje dziecko, często i my kobiety nie wiele jesteśmy warte, ale nie znam jednego mężczyzny który byłby wart choćby najgorszej z nas.

— Nie wiem, moja ciociu, odpowiedziała Renata z westchnieniem, sądzę przeciwnie, że ten biedny Alfred zasługuje na więcej szczęścia, niżbym mu dać mogła. Czy nie byłabym mniej szlachetną od niego, gdybym oddała mu rękę bez głębokiej i szczerej miłości?

— Mój Boże! pocóż ten wyperfumowany i błyskotliwy świat paryzki zabłąkał się aż do naszej poczciwej Bretanii, aby zatruć jej powietrze!... Może ten poczciwy Alfred podobałby ci się więcej, gdybyś nie poznała....

— Nie mówmy już o tem, droga ciociu, przerwała Renata uśmiechając się spokojnie, podług mnie wszystko jest dobrze tak jak jest. Urodziłam się już na starą pannę, od dziecinnych lat miałam do tego powołanie.

— Tak samo jak ja, odpowiedziała Sylwia, przesuwając pieszczotliwie rękę po czarnych włosach Renaty, i patrząc na nią z wesołym i tkliwym uśmiechem.

— Będąc małą jeszcze dziewczynką, uważałam to sobie za największe szczęście, że mogłam czuwać nad moim młodszym braciszkiem.

— Tak samo jak ja, szepnęła znowu Sylwia, podnosząc ku niebu zroszone łzami oczy.

— Ciociu, rzekła Renata spostrzegłszy to spojrzenie, i zarzucając rękę na szyję Sylwii, skoro usposobienia nasze są tak podobne, czemuż nie miałybyśmy także iść dalej razem przez życie i razem spoglądać w to niebo w którem ukochani nasi już nas oczekują, lub pielęgnówać tych drobnych istotek które tu niedługo zawitają. Dom nasz nie będzie znów tak smutnym i ponurym: prawda że będzie w nim dwie stare panny, ale dwie stare panny kochane i szczęśliwe.

W trzy tygodnie później pan Mercier przybył do Plouernel smutny i przygnębiony, i oznajmił że syn jego pożegna wkrótce siostrę i Renatę.

— Więc odjeżdża? zawołała Renata drżącym głosem.

— Wszakże zapowiedział to już dawno... Wstąpił do wojska aby walczyć z Prusakami, odpowiedziała z płaczem Melina. Biedny mój brat... Czy zobaczymy go jeszcze kiedy?...

Renata sama silnie wzruszona, nie umiała pocieszyć Meliny; zresztą, czuły to obiedwie ze będą musiały przebyć jeszcze bolesną chwilę rozstania, której najtkliwsze słowa pociechy osłodzić nie zdołają.

Nazajutrz przybył Alfred smutny, ale spokojny, aby pożegnać się z niemi.

— Idziesz walczyć za świętą sprawę, Alfredzie, rzekła Renata ze łzami w oczach podając mu rękę.

— Cóż lepszego mógłbym uczynić? odpowiedział z boleścią. Jestem tylko nic nieznaczącym Bretończykiem, nie posiadającym znakomitego nazwiska, dla którego jednak znajdzie się miejsce pod ojczystym sztandarem. Widać, panno Renato, że kochasz Francyą, skoro jej dajesz jednego obrońcę więcej, dodał uśmiechając się smutnie i z lekkim odcieniem goryczy.

— Przebacz mi Alfredzie, szepnęła. Pozostaw mi nadzieję...

— O! nie mam do ciebie żalu, odpowiedział, przeczuwałem zawsze że taki będzie koniec moich marzeń. Wiem to z własnego doświadczenia, że serca nie można zmusić do posłuszeństwa... Ale wszakże przynajmniej przyjaźń nasza pozostanie zawsze niezmienną?... Wspomnisz choć czasem o mnie... Będziesz się modlić za mnie, Renato?

— O! zawsze, zawsze, rzekła ocierając łzy. Dla mężczyzny musi być tak słodką, tak pocieszającą ta myśl że jest użytecznym swej ojczyznie, że poświęca się dla szlachetnej sprawy!... Mam nadzieję, Alfredzie, że i ty będziesz spokojnym, pocieszonym, skoro do nas wrócisz.

— Alfred, w miejsce odpowiedzi wstrząsnął wolno głową, jakby nie dowierzał temu że kiedyś pocieszy się i wróci. Następnie, wzruszony silnie niespokojnem, pełnem serdecznej życzliwości i przyćmionem łzami spojrzeniem Renaty, powiedział:

— Tak, nie traćmy nadziei! Uścisnął po raz ostatni jej rękę i oddalił się aby pożegnać siostrę.

Po oddaleniu się młodego ochotnika, przez czas jakiś panował w Plouernel cichy lecz szczery smutek, ale po kilku tygodniach przyszedł na świat malutki Rene i uśmiech wrócił na usta młodej matki. Renata, jako ciotka i chrzestna matka czuła się także dumną i szczęśliwą ze swej nowej godności. Co więcej,—rzecz napozór dziwna, a jednak łatwa do zrozumienia,—pan Mercier, którego z początku postanowienie syna doprowadzało prawie do rozpaczy, uzbroił się teraz w rezygnacyą połączoną z jakimś odcieniem ironii.

— Dla młodzieńca takiego jak mój syn, to jest z najlepszem sercem, ale zapaloną głową, mówił niekiedy, lepiej jest wstąpić do wojska niż się ożenić. Wprawdzie, tak w jednym jak w drugim razie grozi równie niebezpieczeńszwo, ale nie trzeba zobowiązywać się na całe życie.

Zresztą, ostre żołnierskie życie mogło być tak

korzystnem dla tej rozmarzonej głowy! Alfred wróci zapewnie pocieszony, spokojny, rozsądniejszy. Prócz tego wszakże nie poszedł sam jeden; zaciągnął się do wojska jednocześnie z ludźmi noszącymi znakomite nazwiska; z młodym wicehrabią de Kergaray, margrabią de Lesneven, z panami du Parc i wielu jeszcze młodymi arystokratami z tych okolic. To głównie pocieszało pana Mercier, i przy każdej sposobności przypominał o tem swym sąsiadom i przyjaciołom. Są natury niezdolne zapatrywać się inaczej na najwznioślejsze nawet rzeczy jak tylko z ciasnego punktu widzenia własnych żądań i nadziei. Tam, gdzie Renata widziała poświęcenie, Alfred ulgę w smutku, papa notaryusz dostrzegał tylko możność tworzenia nowych planów i kombinacyj.

Alfred jest już towarzyszem broni, kolegą panów du Parc, margrabiego de Lesneven, z czasem zostanie ich przyjacielem. Jestem pewny że bijąc się z wrogami zapomni wkrótce o pannie Renacie. A w jakie arystokratyczne towarzystwo wejdzie, jak świetnie będzie mógł się ożenić skoro wróci do swych dóbr w Bretanii, szczęśliwy, uleczony z tej niedorzecznej miłości!... Będę się starał usilnie doczekać zdrowo tej chwili, abym się mógł cieszyć i chełpić z jego powodzenia.

Dzięki podobnym myślom, pan Mercier znosił spokojnie nieobecność syna. Odzyskał po części wesołość, uśmiechał się do Renaty i błogosławił ją w duszy za to że odmówiła Alfredowi; a nadewszystko nie posiadał się z radości gdy patrzył na swą córkę margrabinę, usypiającą na ręku malutkie margrabiątko, którego był rodzonym dziadkiem.

XVIII.

Koniec marzeń.

Przy końcu sierpnia znów nowy smutek spadł na mieszkańców zamku Plouernel i zamącił ich ciche życie. Melina, jakkolwiek żywa, kształtna i pełna wdzięku, była zawsze wątła i delikatna. Po urodzeniu syna długo była osłabiona, a następnie zdrowie jej zaczęło budzić żywą obawę. Gwidon przerażony tem, sprowadził z Paryża dwóch sławnych lekarzy, którzy oświadczyli jednozgodnie, że po dłuższym pobycie w południowych okolicach Francyi, młoda margrabina odzyska zupełnie siły i zdrowie. Biedna Melina, zgodziła się na to dopiero do długich i usilnych próbach, a że jej ukochany Rene był jeszcze zbyt słabym aby mógł znieść tak długą podróż, musiała pozostawić go pod opieką Renaty i Sylwii.

Biedna matka, płakała rzewnie odjeżdżając, i to jedynie pocieszało ją trochę, że powierzała swój skarb najdroższy opiekunkom tak troskliwym i tak zdolnym zastąpić najtkliwszą matkę.

Pan Mercier miał zamiar towarzyszyć córce, aby, jak mówił, zwiedzić południowe okolice, gdy jednocześnie Alfred przebiegać będzie wschodnie, i nie zatrzyma się aż na pruskiej ziemi. Musiał jednak odłożyć na później spełnienie tego zamiaru, gdyż zasłabł dość ciężko w sam dzień wyjazdu. Gwidon i Melina wyjechali pierwszego września, w cztery dni później nastąpiła nieszczęśliwa dla Francyi bitwa pod Sedanem. Alfred zdołał ujść z niewoli, i po przebyciu wielu niebezpieczeństw, wstąpił do pułku wolnych strzelców, z którym udało mu się połączyć w drodze.

Łatwo się domyślić że w takim stanie rzeczy w la Rouërie i Plouernel z każdym dniem prawie wzrastał niepokój i smutek. Sylwia i Renata patrząc na dziecię uśmiechające się na ich kolanach, lub śpiące spokojnie w kolebce, zadawały sobie z bolesną trwogą pytanie, jaki los czeka tę dziecinę, jego matkę, Gwidona, czy znów pod tym starym dachem żyć będzie sierota? Dla tego też gorliwie czuwały przy kolebce, i nie wychodziły nigdzie prócz do kościoła, gdzie co dzień prosiły Boga aby czuwał nad oddalonymi wystawionymi na ciągłe niebezpieczeństwa, lub zagrożonymi śmiercią.

Pan Mercier, ciągle jeszcze cierpiący, miewał często uderzenia krwi do głowy, które kazały obawiać się dla niego każdego wzruszenia, chodził jak błędny z miejsca na miejsce, lub siedział nieruchomy, pod wpływem jakiegoś otrętwienia którego pomimo silnej woli nie mógł przemódz. Bywał dość często w Plouernel, a jeźli przyjechał tam wtenczas gdy Sylwia i Renata były w kościele, siadał przy kolebce wnuka i patrzył na niego prawie bezmyślnym wzrokiem, nieruchomy jak posąg. Dopiero odgłos zbliżających się kroków budził go z ponurego zamyślenia; Renata i Sylwia po powrocie z kościoła wracały śpiesznie na swe miejsca przy kolebce, pokrzepione gorącą modlitwą z nadzieją w sercu, z uśmiechem na ustach.

Jakże one szczęśliwe, myślał zrozpaczony ojciec, że byle co może obudzić w nich nadzieję! Czy sądzą że modlitwa może ocalić moją Linetę, sprowadzić tu mego syna?

Słowa pociechy nie czyniły już żadnego wrażenia na nieszczęśliwym starcu; stracił juz wszelką nadzieję. Dla tego też z każdym dniem chód jego był mniej pewnym, zdrowie co raz słabsze, i Renata, w której sercu cierpienia innych budziły tak gorące współczucie, byłaby z pewnością prosiła go aby się przeniósł do Plouernel, gdyby nie obawa że to zbliżenie może się stać powodem nieporozumienia między ojcem Meliny i ciotką Sylwią.

Ten ciągły niepokój i cierpienie oddziaływały dziwnie na umysł Renaty. Zdawało jej się że ci których tak kochała byli prawie dla niej straceni, że pozostała już tylko sama ze swemi wspomnieniami, i że tak opuszczona zestarzała się nagle. Jakże to już dawno minął ten czas, w którym jako swobodne, nie troszczące się o nic dziecko, bawiła się z bratem, Meliną i Alfredem, którym teraz grozi takie niebezpieczeństwo, na stepie, w lesie lub nad morzem! Ileż to już lat minęło od owego dnia w którym spotkała tych układnych i obłudnych przybyszów, w którym pani de Sarrans i syn jej uśmiechali się do niej tak mile, składali jej hołdy, unosili się nad jej pięknością i talentami. Byłaż to ta sama Renata co teraz? zadawała sobie pytanie, pochylając smutnie głowę. Mój Boże! o ileż troski i niepokoje tamtych były lżejsze od tych jakie teraz znosić muszę! Jednak jeżeli w ciągu tych bolesnych marzeń mały Rene przebudził się, powitał ją wesołym krzykiem, wyciągając ku niej pulchne rączęta, zadrżała jakby nagle przebudzona, biegła do niego prędko uśmiechając się, a smutne marzenia rozpierzchały się natychmiast, gdyż czuła że pomimo tych trosk i samotności istniało jeszcze dla niej uczucie silne, trwałe, napełniające jej serce radością.

W ostatnich dniach październiks dziecię zasnęło, a Renata czuwająca przy niem uśmiechała się jeszcze do niego, gdy panna de la Trémarais siedząca przy oknie zadrżała i krzyknęła nagle.

— Co się stało, ciociu, zapytała, zbliżając się do niej, przestraszona Renata.

— To.. mój Boże!... nic tak strasznego... Jakiś człowiek przyjechał na koniu. Jednak nie masz się czego obawiać... Widzisz że to jakiś wieśniak a nie posłaniec ze stacyi telegraficznej.

Pomimo tych słów uspakających, Renata przerażona wybiegła z pokoju, i spotkała w sieni wieśniaka, w ubraniu przypruszonem śniegiem, a po którego czole pomimo to spływały krople potu.

— Przyjechałem z la Rouërie, panno margrabianko, odezwał się zdejmując czapkę. Byłem przy robocie w ogrodzie, kiedy pani Genowefa, nasza gospodyni, kazała mi wsiąść na konia, przyjechać tu i powiedzieć pannie margrabiance że... że pan Mercier już prawie umarł... Prosi bardzo aby pani przyjechała. Posłała już po księdza i po doktora. A! byłbym zapomniał... Kazała mi jeszcze powiedzieć że to po przeczytaniu tego papieru pan Mercier upadł jak martwy na ziemię.

To powiedziawszy, podał Renacie depeszę telegraficzną. Przeczytała kilka wierszy poczem przerażenie i boleść zasłoniły jej wzrok, litery, słowa, papier. Oto co stało w depeszy:

„Pułkownik 4 pułku jazdy, do pana Mercier de la Rouërie, właściciela i radcy jeneralnego.. Saint-Fargeau, 20 listopada 1870 r. Podporucznik Alfred Mercier, ciężko ranny w pierwszej zaraz potyczce, we dwa dni później zakończył życie w ambulansie; umarł jak mężny żołnierz i jak chrześcianin. Cześć mu i wieczne odpoczywanie; głębokie i żywe współczucie dla nieszczęsnego ojca. Dalsze szczegóły przez kuryera zostaną przesłane.”

Papier wypadł z rąk Renaty, zachwiała się i drżącą ręką bezwiednie szukała oparcia. Przechodząca służąca przybiegła i podtrzymała ją, wołając:

— Panienko! panienko! bądź mężną, przyjdź do siebie...

— Proszę pani, Genowefa tak mnie upominała żebym nie zapomniał powiedzieć iż trzeba koniecznie abyś przybyła do la Rouërie, bo może pan Mercier będzie chciał się z nią widzieć, powtarzał zmieszany posłaniec drapiąc się po głowie.

Te jego słowa oprzytomniły Renatę, przywodząc na myśl zadanie które zapewnie spełnić jej przyjdzie.

— Ah! prawda... ten biedny ojciec! wyszeptała wstając z krzesła. Dobrze, dobrze, Józefie... jadę zaraz... Tylko najpierw, Ywono, zanieś ten papier pannie Sylwii.

Niosąc depeszę do panny Trémarais, Ywona nie omieszkała jej przeczytać, i wkrótce wszyscy w domu dowiedzieli się jak boleśną zwiastowała wiadomość.

— Nie pozwolę ci jechać samej, Renato, wołała ciotka Rylwia, która przybiegła blada i stroskana, przez roztargnienie trzymając w ręku nieodstępną pończochę i srebrną łyżeczkę którą poiła małego swego wnuczka.

— I owszem, cioteczko, ale mały Rene?

— Ywona nie odstąpi go ani na chwilę; zresztą wszak to tak blizko, że jeźli, jak się spodziewam, stan pana Mercier nie jest zbyt groźny, przynajmniej jedna z nas będzie mogła dziś jeszcze powrócić.

Za chwilę obie były gotowe i wydawszy potrzebne rozporządzenia wsiadły do powozu. Renata trzymała w ręku rozłożoną depeszę, wpatrując się w nią i odczytując. Przejeżdżały przez park; widziała z daleka przez drzewa ukwieconą łąkę, ławeczkę darniową, stary mur, białą akacyę, a wszystkie tak dawne łączące się z niemi wspomnienia rzewne łzy wyciskały z jej oczu. O! gdyby młody Alfred, już spokojny i okryty chwałą, widział te łzy rzęsiste spadające na papier, jakżeby się czuł szczęśliwym i dumnym!

(D. n.)

Opis do N-ru 32.

(Dokończenie.)

Kulki dodane z włóczki mchowego koloru. Boki koszyczka pokryte robotą szydełkową z włóczki angielskiej, którą przedstawia ryc. 13; wyszycie zwierzchnie dane filozelą. Przyozdobienie koszyczka wykończa się podług ryc. 9.

N. 14 i 16. Sukieneczka wycięta, przemarszczana. Krój (na lat 2—4) na arkuszu N. VI, fig. 20—21.

Ryciny 14 i 16 przedstawiają sukieneczkę z szarfą lub bez takowej, z materyału wełnianego z atłasowemi wypustkami lub z granatowego płótna z falbankami haftowanemi kolorowo w maszynie. Cienkie linje na formie wskazują miejsce przemarszczenia, danego u góry i u dołu, z przodu na 10 cent. szerokości, w plecach przy zapięciu na guziczki na 4 cent. U dołu sukienki dane dwie falbanki zachodzące jedna na drugą, po 12 cent. szerokie, z których wyższa przemarszczana jest na 5 cent. Przy opasaniu szarfą z prostego kawałka 150 cent. długiego, 20 szerokiego — można nie przemarszczać falbany. Wykrój szyi i rękawki przybrane odpowiednio do dolnego garnirunku sukienki.

N. 15. Sukieneczka wycięta formą princesse. Krój jak do ryc. 32.

Uszyta z ażurowego materyału i przybrana haftowanemi wszywkami 4 cent. szerokiemi i 6 cent. szerokiemi falbankami; plisowanie u dołu liczy 10 cent. Guziczki z konchy perłowej; kokardy z atłasowej wstążki.

szeroką, przez którą przegląda różowa materya surah, z tyłu wraz z rondkiem wywinięta na wierzch. Z wierzchu główki dana wielka kokarda z wstążki 5 cent. szerokiej i girlandka z kłosów.

N. 22—23 i ryc. 8. Okrycie z szalowemi końcami. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—2a.

Na ryc. 22 i 23 mamy przedstawione okrycie i suknię czarną z satin merveilleux, ale okrycie takie może być noszone przy każdej sukni lub odrobione z innego materyału. Prócz formy na fig. 1 i 2 dajemy lewą stronę okrycia na ryc. 8, gdzie widać podszycie oddzielnego karczka i podszewkę z ponsowej satynki. Karczek podłożony sztywnym muślinem i wszyty w pasek 3 cent. szeroki, utrzymuje przemarszczenie dane na ramionach w miejscu oznaczonem linją prostą o 3 cent. od górnego brzegu, tworzącego w około szyi jakby krezę. Końce przemarszczają się również podług linii danej na formie; od lewej strony na wcięciu stanu podszyty pasek, pomaga do dobrego leżenia okrycia. Szeroka koronka hiszpańska i kokardy atłasowe służą do przybrania.

N. 24 i 25. Suknia z podwójną tuniką. Krój tuniki na arkuszu N. II, fig. 3.

Strojna czarna spacerowa suknia, przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 24 i 25, przybrana jest ciemno-ponsowym satin merveilleux i hiszpańską koronką 13 cent. szeroką. Wolant przy tylnym i bocznych brytach sukni dany, 20 cent. szeroki, przemarszczony na 8 cent. szerokości, z przodu to przemarszczenie podnosi się na 36 c. Fig. 3 załącza wskazanie kroju, wymiar i oznaczenie fałd w tunice: *a* i *b* znaczą dwa bryty przednie i boczne, które na 38 cent. wzdłuż zszyte są z sobą, a podług linii pro-

przez przemarszczenie, przyczepia się końcami na przodzie, podług ryc. 24 i tworzy jakby rodzaj panier. Dwa bryty tylne przykrojone podług *c*, przechodzą od górnego sfałdowanego brzegu do gwiazdki krzyżując się z sobą, zszyte są z sobą i upięte podług znaków i ryc. 25. Długa spiczasto ścięta baskina, przy plecach założona jest w głębokie fałdy i przypięta kokardą. Przy wykładanym kołnierzu dodane są z przodu chusteczkowe końce 24 c. szerokie, z brzegów bocznych 41, ze środkowych 63 c. długie, na wcięciu stanu wzdłuż 5 cent. przemarszczone, do 4 cent. szerokości i spięte kokardą.

N. 26—27. Suknia z przemarszczeniem (coulissé). Krój draperyi na arkuszu N. XI, fig. 31.

Odpowiednio do przemarszczania stanika przedstawionego z przodu i z tyłu na ryc. 26 i 27, dane jest i w tunice przemarszczanie u góry z przodu i z tyłu. Krój tuniki wskazuje fig. 31: na bryt przedni *a*, przyszyty i odwrócony dolnym brzegiem na spódnicy, materyał (podwójnej szerokości) bierze się poprzecznie; linja cienka wskazuje przemarszczenie 9 cent. wysokie. Litera *b* oznacza tylny bryt, którego brzeg górny przez przemarszczenie na 8 cent. długie zwęża się do 16 cent., dolny zaś obrąb, składając gwiazdkę do gwiazdki, przyczepiony na spódnicy podług ryc. 26. Stanik zapięty z tyłu na kryte haftki, przemarszczony jest w około szyi na 10 cent., a na plecach i z przodu przemarszczenie tworzy rodzaj plastronu. Odmienna plisa przy baskinie i mankiety liczą 6 c., kołnierz 4 cent. szerokości. Suknia ta odrobiona z granatowego kaszmiru, przybrana tegoż koloru materyą w złote kropki; kokardą z atłasowej wstążki 10 cent. szerokiej.

N. 28. Vêtement z pelerynowym kołnierzem dla małej dziewczynki.

Spódniczka cała plisowana do ubrania domowego, noszona jest z bluzką, na ulicę zaś dopełniona paletotowem vêtement, z szerokim pelerynowym kołnierzem, z wyszyciem sznureczkowem, z tasiemeczki przerabianej metalowemi nitkami, np. złotą, srebrną lub stalową.

N. 17 i 37. Sukieneczka z karczkiem. Krój na arkuszu (na 2—4 lat) N. VII, fig. 22—26.

Uszyta z batystu zdobi się koronką i wszywką nicianą robioną ręcznie lub cluny, z materyału bawełnianego oszywa haftikami. Dla dokładniejszego wskazania odrobienia sukienki, na ryc. 37 przedstawiamy ją bez szarfy z kolorowej wstążki, która przytrzymana jest przez patki 9 cent. długie. Plecy w miejscu oznaczonem literami *h* i *g* założone w głębokie kontrafałdy. Linja prosta na fig. 22 oznacza szerokość plastronu, składanego w wązkie zakładki, środkiem którego dana zakłada 2 c. szeroka. Fig. 25 daje formę karczka całego w zakładki; wykrój szyi ogarnirowany koronką. U dołu sukienki falbanka plisowana 8 cent. szeroka i wolant oszyty koronką lub haftem.

N. 18—19 i ryc. 35—36. Kapelusze dla panienek.

N. 18. Kapelusz z piórami.

Ma rondo z jednego boku odwinięte w górę i podszyte marszczoną materyą surah, blado-niebieskiego koloru; zwierzchnie przybranie stanowią dwa ładne strusie piórka i 17 cent. szeroki skos materyi surah fantazyjnie opasujący główkę. Na ryc. 16 podaliśmy tenże kapelusik z boku.

N. 19 i 36. Kapelusz zdobny bukietem kwiatów i atłasem.



N. 1. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 32. N. 2. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 33. N. 3. Suknia z bluzką przemarszczaną. Patrz ryc. 30.

N. 29—30. Suknia z tuniką.

Do muślinu lub batystu przybranie stanowią koronki, a przy kretonie lub zefirze haft biały. Na modelu użyto były wstawki 3 cent. szerokie, a koronka 5 i 2 cent. Przód sukni przemarszczany w bufy, przysłonięty jest tuniką podpiętą à panier i przemarszczaną z przodu, której bryt tylny ścięty w ząb oszyty jest naokoło koronką; przy plecach stanika dane upięcie z trójkąta 50 cent. długiego, oszytego koronką. Kokardy kolorowe.

N. 31 i 43—44. Serweta z wyszywanym szlakiem. Deseń patrz na arkuszu N. 3.

W wyszyciu naśladującem wzory z XVI wieku, zasługuje na uwagę nietylko ładny deseń, ale i rozmaite rodzaje ściegów zapełniających go. Serweta podłużna, z mocnego płótna domowej roboty białego lub żółtawego, wyszyta jest ściegiem sznureczkowym, łańcuszkowym lub tamburkowym, kolorem granatowym, żółtym lub ponsowym; dwa nowe rodzaje ściegów wskazujemy oddzielnie na ryc. 43 i 44, z objaśnieniem jak trzeba wkładać igłę. Brzegi serwety zakończone obrębem, oddzielonym kratką ażurową.

Kapotka z florenckiej słomki przedstawiona z przodu i z tyłu na r. 19 i 36, podszyta marszczoną, blado-niebieską materyą, zdobna z wierzchu bukietem niezapominajek i stokrotek i skosem atłasowym.

N. 35. Kapelusz z angielskiej słomki.

Ma rondko oszyte pletnią słomkową ażurową 3 cent.

stej przemarszczone do 80 cent. całej szerokości. Brzeg górnego przemarszczenia zachodzący na stanik, podszyty jest taśmą elastyczną; od spodu podszyte taśmy zabezpieczają przemarszczenie. Przód przemarszczany wpuszczony jest brzegiem bocznym sfałdowanym do 60 cent. w szew spódnicy. Draperya boczna *b* luźno przerzucona

N. 32—33. Fartuszek bluzkowy dla małego dziecka. Krój (lat 3—5) na arkuszu N. V, fig. 16—19.

Forma taka jest bardzo praktyczna, gdyż całkowicie osłania sukienkę; model był z granatowego płótna przybrany ząbkami trimming i szlaczkiem krzyżykowym, wy-

szytym kolorowo. Krając przody podług fig. 16, potrzeba dodać materyału na fałdy. Patki boczne wszywają się od gwiazdki do dwukropka, w szew łączący przody z plecami, w który również wpuszczone końce szarfy 8 c. szerokiej.



N. 4. Barbka koronkowa. Haft i wywodzenie na tiulu. Patrz ryc. 5.

N. 34. Żabot z grelotkami z perełek.

Ułożony ze skośnego kawałka białej jedwabnej gazy, składa się z dwóch pukli po 20 cent. długich i szerokich, z których jeden oszyty jest przy górnym brzegu, a drugi przysłonięty całkowicie koronką ozdobioną grelotkami z perełek.

N. 38. Bluzka dla dziecka.

Sukieneczka formą bluzki ma plecy i przody przemarszczane, a u dołu dopełniona na długość falbaną fałdowaną 20 c. szeroką, której przyszycie zasłania pasek 5 cent. szeroki, kołnierz formą marynarską. Forma taka odpowiednia zarówno dla chłopczyków jak i dla dziewczynek. Rycina 38 przedstawia bluzkę z szarego płótna, zdobną pliskami z ponsowego szwajcarskiego perkalu; guziczki z konchy perłowej.



N. 5. Część barbki koronkowej ryc. 4.



N. 16. Kapelusz „duchesse".



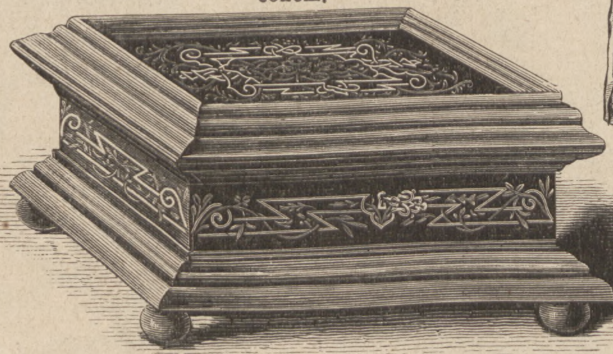
N. 7 — 12. Przybory do rysowania na szkle złoconem.



N. 15. Kapelusz Niniche.



N. 17. Kokarda z przybraniem szmuklerskiem.



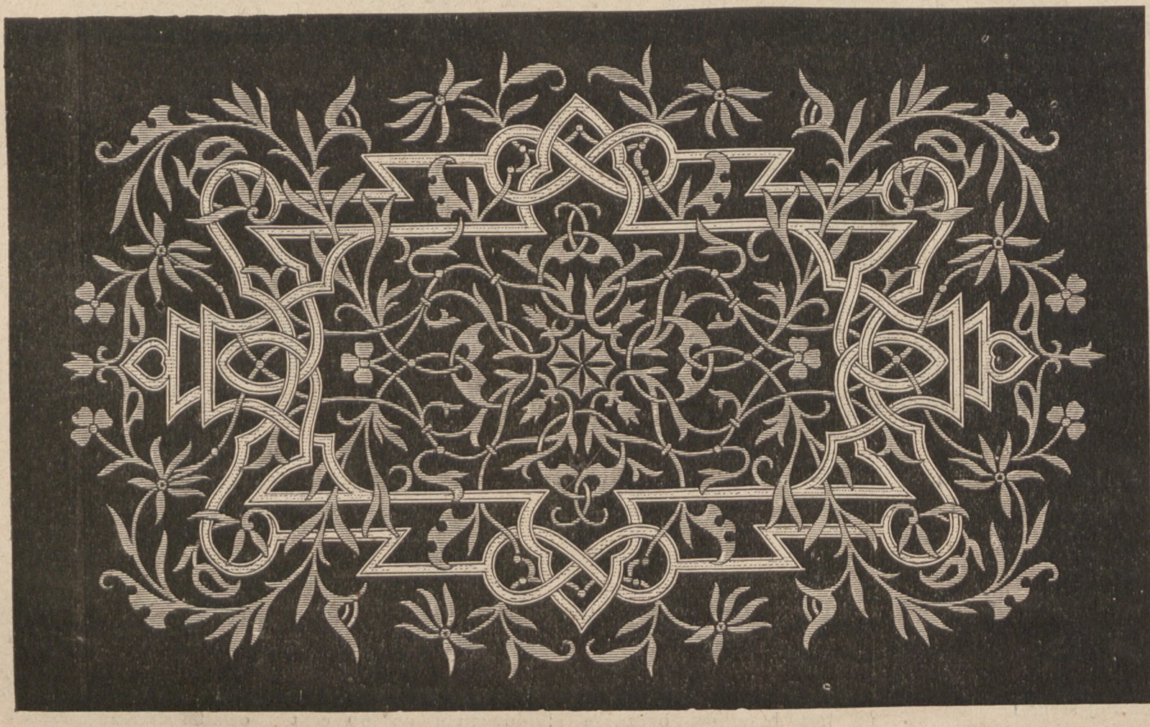
N. 13. Kasetka ozdobiona rysowaniem na szkle złoconem.



N. 18. Suknia z vêtement i szarfą.

N. 39. Kołnierz chusteczkowy z koronki.

Pasek sztywnego tiulu 45 cent. długi a 3 szeroki, stanowi podstawę na której opiera się plisowana koronka, 7 cent. szeroka; żabot przedni składa się z plisowanej koronki i kokardy z wstążki ułożonych podług ryc. 39. Kołnierz zapina się z tyłu pod kokardą.



N. 14. Tafla do szkatułki ryc. 13. Rysowanie na szkle złoconem, deseń na arkuszu ryc. 29 — 30.

N. 40. Chusteczka z gazy i koronki.

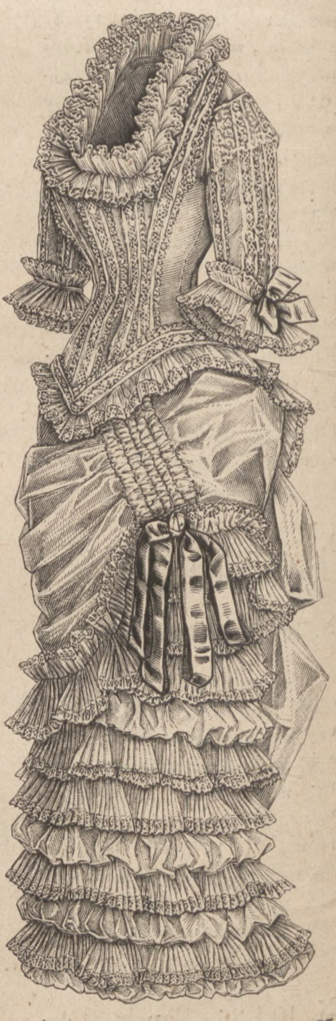
Skośny kawałek gazy użytej na chusteczkę, ze spiczastemi końcami, liczy 35 cent. szerokości a 75 długości. Brzegi oszyte koronką 6 cent. szeroką, z przodu ułożoną nakształt żabotu.



N. 6. Krawatka z koronki „point duchesse."

N. 41. Haft na poduszkę do kanapy. Naszywanie i łatwy haft.

Haft jaki podajemy na r. 41, przedstawia się bardzo efektownie i wykonywa bez wielkiej pracy; materyał i ściegi mogą się zmieniać dowolnie. Na modelu tło środkowe liczące 24 cent. w kwadrat, było z grubego wełnianego materyału z tłem przerabianem zielono z czarnem i w kwiaty ponsowe, oliwkowe, niebieskie, lilla i łososiowe, które są albo ozdobione tylko dodaniem środków i żyłek, albo całe pokryte są filozelą. Na tle rzucanie ściegi z nitki złotej. Wązka pletnia przerabiana złotem przykrywa zszycie tła środkowego ze szlakiem z oliwkowego pluszu, 15 cent. szerokim, ozdobionym haftem.



N. 19. Suknia z przemarszczaną w skos tuniką.

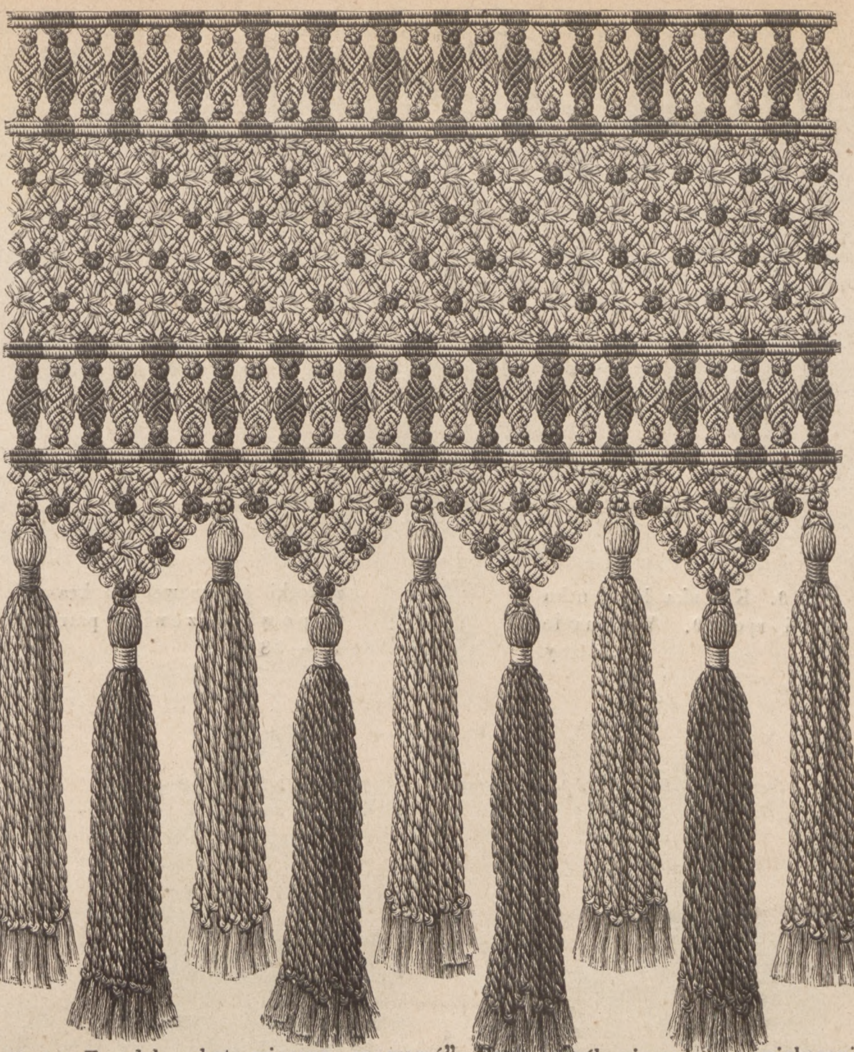
N. 42. Wyszycie na pluszu wytłaczanym.

Piękny w deseń wytłaczany plusz, przedstawia się jeszcze



N. 20. Wyszycie na kołnierzu, ryc. 16 w N. 34.

efektowniej, gdy kontury deseniu odznaczymy złotym sznureczkiem i dodamy gdzieniegdzie supełki z nitki złotej, jak to przedstawia r. 42. Taki plusz stanowi wspaniałe pokrycie na meble, poduszki lub służyć może jako szlak przy gładkim pluszu.



N. 22. Frendzla robotą wiązaną „macramé". Patrz sposób wiązania w powiększeniu ryc. 24—29.

wązką koronką, vêtement odrobione było z materyału jasnego w rzucik kolorowy i oszyte piękną, 7 cent. szeroką koronką białą. Boczne brzegi vêtement w głębokie fałdy zaszyte schodzą się z tyłu pod oddzielnie dodaną częścią draperyi. Tylny bryt odwracanym sposobem na spódnicy przyszyty, spuszczony jest na plisowanie a w środku podpięty w bufę szarfą 30 cent. szeroką, u dołu koronką oszytą, z tego co spódnica materyału. Chusteczka z przodu w węzeł przewiązana, może być zrobiona z tego co suknia materyału, albo z tiulu lub muślinu.



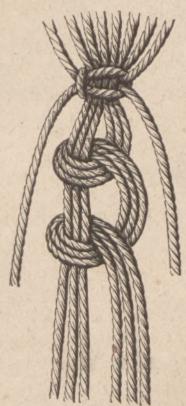
N. 21. Wyszycie do kołnierzyka ryc. 17 w N. 34.

Opis do N-ru 33.

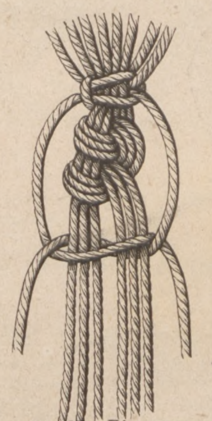
N. 1—3. Toalety letnie.

N. 1 i 32. Suknia z tuniką i ze stanikiem z baskiną.

Model odrobiony był z satynki gładkiej i w rzucik w kolorze heljotropu. Spódnica przemarszczana z materyału gładkiego, u dołu oszyta była 6 c. szerokiem obłożeniem w rzucik, a przy staniku i tunice w rzucik garnirunki były z materyału gładkiego Upięcie tuniki wskazuje dokładnie ryc. 1 i 32. Przy baskinie z tyłu dodane są do boczków części u dołu na ranwers wywinięte, w górze na pleckach guzikiem zapięte, z pod których spada na bryt tylny szarfowe upięcie z gładkiej satynki. Ładne przystrojenie przodów z boku zapinanych, stanowi plastron przemarszczany, na którym w środku naszyte są płaskie guziczki z konchy perłowej.



N. 24. Zarzucenie dzierganych pentelek na węzeł ryc. 27.



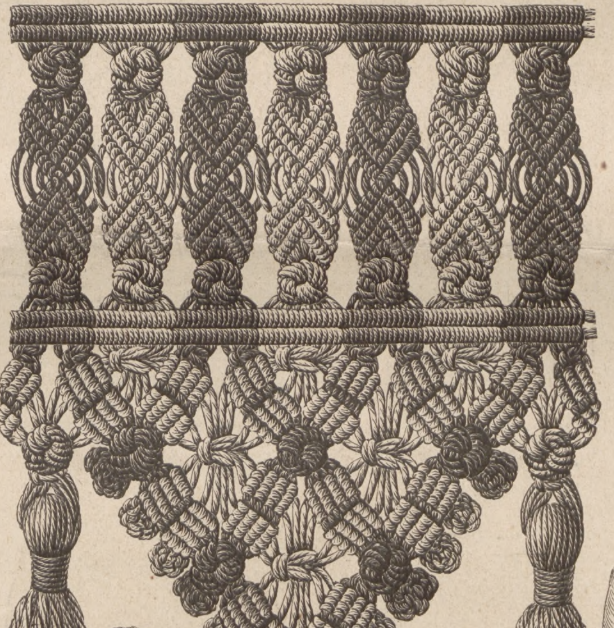
N. 25. Pierwsze przewiązanie do węzła ryc. 27.



N. 28. Wiązanie łańcuszka w węzły na pikot do zęba frendzli ryc. 23.



N. 26. Drugie przewiązanie do węzła ryc. 27.







N. 27. Węzeł (różany) skończony. Patrz ryc. 25-26.



N. 29. Złożenie pikotów do zęba frendzli ryc. 23.

N. 3 i 30. Suknia z tuniką i bluzkowym stanikiem. Model i miary draperyi na ryc. 9 w N. 34.

Na szczególną uwagę zasługuje garnirunek spódnicy podanej oddzielnie na ryc. 30, przy której 40 cent. szeroki wolant, przedzielony jest z przodu trzema pasami 18 cent. szerokiemi, naszytemi falbankami z marszczonej koronki Na ryc. 9 w N. 34 dajemy model i miary draperyi tunikowej: *b* przedstawia pod spód zachodzącą połowę przodu, która podług znaków sfałdowana, przyszywa się do spódnicy 6 c. od środka przodu, bryt zaś *a* oznacza drugą na wierzch zachodzącą połowę, boczne brzegi sfałdowane zeszywają się z brytem tylnym, któren u dołu przyszywa się



N. 30. Spódnica do sukni ryc. 3.



N. 32. Plecy do ryc. 1.



N. 33. Przód do ryc. 2.



N. 31. Spódnica z tiurniurą.

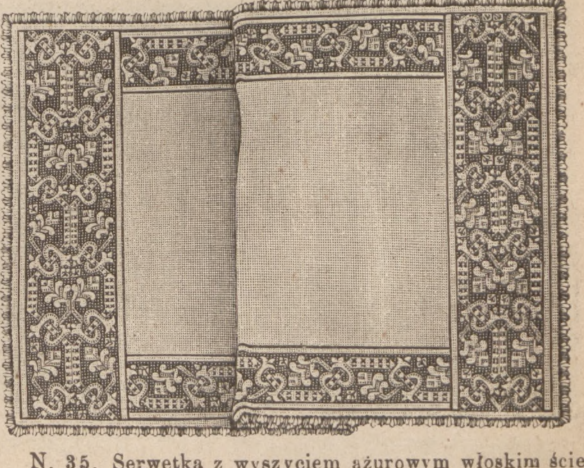
N. 2 i 33. Suknia z vêtement.

Do spódnicy z gładkiego, ciemnego materyału, zagarnirowanej plisowanemi 6—7 cent. szerokiemi falbankami oszytemi

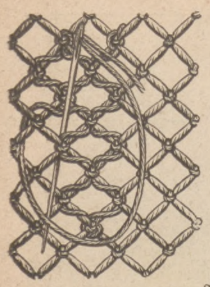
N. 25. Zakończenie dolne frendzli ryc. 22. Wielkość naturalna. Patrz r. 24-29.



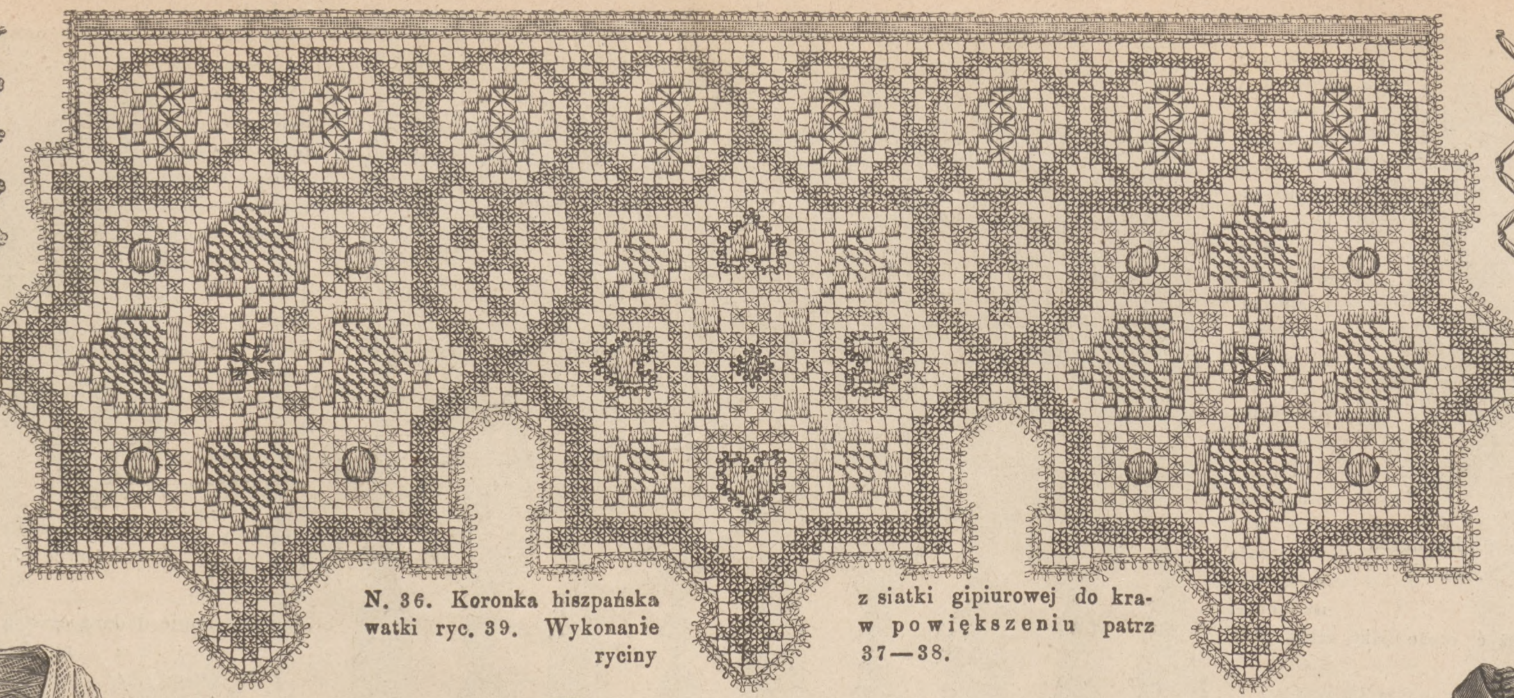
N. 34. Serwetka z wyszywanym szlakiem. Patrz ryc. 20 w N. 34.



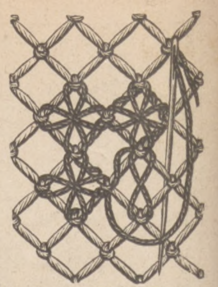
N. 35. Serwetka z wyszyciem ażurowym włoskim ściegiem. Patrz ryc. 45.



N. 37. Wyszycie ściegu koronkowego na siatce do ryc. 36.



N. 36. Koronka hiszpańska z siatki gipiurowej do krawatki ryc. 39. Wykonanie w powiększeniu patrz ryciny 37—38.



N. 38. Wyszycie ściegu smyrneńskiego na siatce do ryc. 36.



N. 39. Krawatka tiulowa z koronką hiszpańską siatkową.



N. 41—42. Płaszczyk z szeroką koronką. Wskazanie kroju patrz ryc. 10. w N. 34.

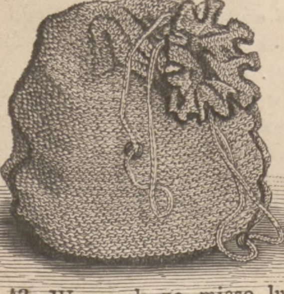


N. 40. Krawatka atłasowa z koronką.

szwem odwracanym, a w górze fałduje i wszywa w pasek. Szeroko przykrojona bluzka, przemarszcza się na 9 cent. długości na wcięciu w pasie. Szeroki fałdowany pasek zapina się z boku pod kokardą. Kołnierz, żabot i mankiety z marszczonej 4 cent. szerokiej koronki vermicelle, naszywanej na paskach muślinu. Model sukni odrobiony był z srebrno-popielatego zefiru.

N. 4—5. Barbka koronkowa. Cerowanie i haft sznureczkowy na tiulu.

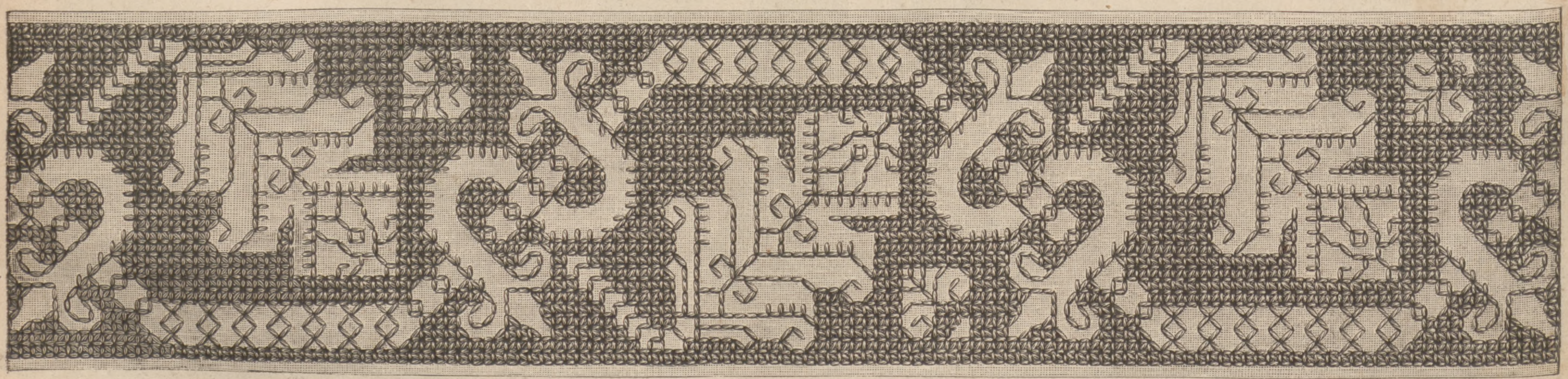
Ryc. 6 przedstawia w naturalnej wielkości koniec barbki robionej na czarnym tiulu, jedwabiem czarnym i vieil-or, a na zmniejszonej ryc. 4, pokazujemy w jaki sposób powtarza się deseń w dalszym ciągu. Deseń najlepiej odrysować na glansowanym perkalu, pod któren podkłada się następnie ceratkę, a tiul gładko i równo fastrzyguje. Następnie kontury odznacza się grubym kordonkiem vieil-or, któren przyszywa się bardzo cienkim jedwabiem, ściegiem niewidocznym, to jest w środek nitki kordonku zajmowanym, a tło figur ceruje się jedwabiem czarnym, sposobem na ryc. 5 wskazanym. Do brzegów można przydziergać koronkowe pikoty. Chcąc stosownie do mody zakończyć barbkę prosto u dołu, podszywa się pod ząb plisowaną koronkę. *(D. n.)*



N. 43. Woreczek na mięso lub t. p. zakupy gospodarskie.



N. 44. Koszyczek do robót. Patrz lambrekinę na ryc. 15 w N. 34.



N. 45. Szlak na ścieg ażurowy włoski do ryc. 35.